

Grażyna Kulesza Szypulska

50 twarzy koronawirusa
(z teoriami spiskowymi w tle)

Wydawnictwo MROczne CZASY 2024

(Zamieszczone poniżej teksty publikowane były na blogu autorki „Ciocia Grażynka donosi” we opisywanym terminie <https://ciociagrazynka.blogspot.com/> . Dokonano jedynie kilku niewielkich poprawek typu kosmetycznego. Miejsce akcji – Łomża.

I **13 marca 2020 – pierwszy dzień minął...** *film na dziś „Jestem legendą”*

Żyję. Ale jakoś mi tak nieciekawie. Chociaż dzień zaczął się całkiem nieźle.

Włączam telewizor – troska o seniora. Rodzicu nie prowadź dziecka do babci. Sąsiedzie, zrób zakupy starszej sąsiadce. Seniorze, zadzwoń, pomożemy. W sumie tylu słów i chęci udzielenia pomocy osobom 60+ jeszcze w swym życiu nie słyszałam. Dobrze, dostosuję się. Chociaż wnuka żal.... Iść z wizytą czy nie? Co prawda do tej pory to myślałam, że to ja zarazę mogę roznieść. Wszak niedawno wróciłam z innej części Polski. Tymczasem taki internet mówi inaczej.

Posprzątałam mieszkanie. Nawet podłogi wymyłam. Nie dlatego, że ponoć wirus utrzymuje się trzy dni. Brudne były.

Zrobiłam porządek z paprotką, która domagała się zmiany doniczki. Z jednej paprotki zrobiłam dwie. A kwiatek ważny. Ponoć zdrowotny. Znalazłam zeszłoroczny nawóz w płynie. Podlałam geranium, taki drugi zdrowotny kwiatek. Niech zdrowo rośnie.

W południe wyszłam z psem. I bardzo dobrze. Ponoć nie zabrania się samotnych spacerów. Bo samotna jestem. Po terenie osiedlowego terenu rekreacyjnego, w znacznych odległościach od siebie chodzili tacy jak ja – z psami różnej wielkości.

Żadnych dzieci. Żadnych małolatów. Żadnej młodzieży.

Proszę, jak się młode pokolenie dostosowało. Siedzi sobie szczęśliwe grzecznie przed laptopami, klika, gra, ogląda. Dzień wcześniej widziałam rozradowane grupy młodych. Cieszyli się z powodu odwołanych zajęć. Gdyby tak mieli prawo do głosowania, już wiadomo by było, kto zostałby prezydentem.

Musiałam jeszcze wpaść do przychodni. Telefonicznie zamówiłam leki, bo moje choroby przewlekłe takowych wymagają. Niestety, receptę musiałam odebrać osobiście. Nie pytałam, dlaczego nie ma e-recepty. Personel medyczny i tak zestresowany, po co im stresu dodawać. Pielęgniarka długo szuka mojej recepty wśród sterty innych.

W aptece kilka osób stoi w dużych odległościach od siebie. Dostosowali się. Wyginają się, ile mogą, by z jak największej odległości podać receptę i odebrać leki. Zwykle uśmiechnięta pani farmaceutka sprawia jednak wrażenie przerażonej. Przy

kasie ma płyn odkażający. Często z niego korzysta.

Moja wyprawa trwa ok. 30 minut. Na ulicy w godzinach szczytu spotykam kilka osób. Naród się dostosował. A ja mam skojarzenia....

Kilka lat temu, podczas jesiennego pobytu w Ustce, wybrałam się do miejscowości Rowy, ponoć pięknego i niepowtarzalnego letniego kurortu nad Bałtykiem. Kiedy wysiadłam z autobusu, ogarnęło mnie przerażenie. Potęgowało się wraz z kolejnymi krokami po ulicach.

Miasteczko był wyludnione. To znaczy wyglądało na wyludnione. Mało tego – opuszczanie budynków odbywało się spokojnie. Na parapetach stały jeszcze kwitnące kwiaty, parkingi przed pensjonatami i domami wczasowymi pozamiatane. Na bramach wisały kłódki lub były zamki szyfrowe. W miejscu, w którym jak podejrzewałam było centrum, wszystkie sklepy, kioski, chyba z pamiętkami, zasunięte roletami. Przy kaplicy wisiała kartka – nabożeństwa niedzielne odbywają się do 15 września. To samo dalej - „Punkt apteczny czynny do 15 września”. Jeden otwarty sklep. Jedna otwarta niby kawiarnia i patrzący na mnie z utęsknieniem człowiek obsługujący klientów. Nikt nie spacerował brzegiem morza.

Istna sceneria horroru.

Przypomniał mi się film „Jestem legendą”, w którym Will Smith spaceruje po wyludnionym Manhattanie....

Gdy zapadnie zmierzch, z budynków wyjdą potwory.... Mój syn w rozmowie telefonicznej skojarzenia z filmem potwierdza.

Wieczorem zadzwonił kumpel. Wreszcie przywiózł obiecany kalendarz. Nie, nie będzie wchodził do mieszkania. Biorę psa na smycz, wychodzę przed blok. Stajemy w bezpiecznej odległości. Próbujemy się śmiać z sytuacji.

„Wiesz, rozmawiałem wczoraj z koleżanką, która wróciła z Włoch. Tam też początkowo się śmiali i mają to, co mają. Ja odwołałem wszystkie spotkania. Zamykam się w domu. Będę pracował zdalnie. Mogę.” - powiedział na pożegnanie.

Powiało grozą.

II

14 marca 2020 - drugi dzień minął....

film na dziś „Nieustraszeni pogromcy wampirów”

Żyję. Nerwowo było.

Ranek przywitał mnie słońcem. Gdzieś wyczytałam, że wiadomy wirus ginie w temperaturze plus 26, a na zabudowanym balkonie miałam 36 stopni. Iść na balkon, niech wyparzy coś, jeśli jest? Zanim jednak wyprowadziłam psa na szybkie poranne siusianie, zaparzyłam kawę – zachmurzyło się.

Postanowiłam jednak balkon wysprzątać. Oczywiście, że nie teraz, nie zaraz. Mam przecież dużo czasu na kwarantannie narodowej.

Tradycyjnie włożyłam więc ponownie do łóżka z kawą i książką. Ambitną. „Dom dzienny, dom nocny” Olgi Tokarczuk. Takie przedłużenie mego pobytu na Dolnym Śląsku. W książce dużo znajomych nazw z moim ukochanym Wałbrzychem na czele.

Ok. 13.00 tradycyjnie wyszłam z Kulką na dłuższy spacer. Trochę wiało. Słyszmy opustoszałymi ulicami mijając w przepisowej odległości inne psy.

Na jednym z placów zabaw siedziało trzech małych chłopczyków. Ukradkiem pili piwo i komentowali świat zastany: „K... ale nudy. No, k... i co tu robić. No, k...” itd. itp. Tym razem zwróciłam uwagę, iż na osiedlowych parkingach stoi dużo samochodów. Normalnie o tej porze są puste. Słowem, naród się dostosował. Ludzie siedzą w domach i pilnują dzieci. Spotkałam znajomą idącą do pracy. Z przepisowej odległości wymieniliśmy kilka uwag na temat małych chłopczyków z piwem. „Powiedziałam mojemu (synowi), że jak wyjdzie z domu to mu nogi z d... powyrywam. Ma siedzieć przy komputerze i koniec!”.

O, ukochany komputerze! O cudowny internecie! Jak dobrze, że jesteście!

Po powrocie przypominałam sobie, że w czasie zarazy trzeba się odpowiednio odżywiać. I zupełnie nie wiem dlaczego skojarzyło mi się to z morskimi wyprawami Kolumba i kiszoną kapustą. No nie, akurat kapusty to mój organizm nie toleruje. Wzdęcia mam. I inne rzeczy też. Ugotowałam pomidorówkę. Przy okazji przejrzałam tzw. zapasy. Nie jest źle, miesiąc przeżyję.

Teraz czas na kolejną ucztę intelektualną. Była ambitna książka. Będzie ambitny film - „Kobieta i mężczyzna” francuski film z 1966 roku w reżyserii Claude’a Leloucha. Oglądałam go dwa razy i nie zakumałam za co dostał Oscara.

Po raz trzeci nie zakumałam. Sięgnęłam po kolejny filmowy antyk „Nieustraszeni pogromcy wampirów” niemodnego obecnie Romana Polańskiego. Humor mi się poprawił, może również dlatego, że postanowiłam odkazić wnętrze organizmu podwójną wódką z cytryną.

Tymczasem w internecie ogłoszono, że szpital w mojej miejscowości będzie szpitalem zakaźnym, tylko do dyspozycji wirusa, znaczy się ludzi z wirusem. Od razu powstała petycja do ministerstwa i prezydenta, żeby tego miastu nie robić. Szpital nie jest przygotowany. Ma tylko 23 respiratory, w tym kilka dla dzieci i tylko dwóch lekarzy specjalistów. Ktoś nawet napisał, że znowu cały syf trafia do Łomży. Kiedy zwróciłam mu uwagę, że chorzy to nie syf, post zniknął. Petycję dostałam od wielu osób.

Nie podpisałam.

Uznałam, że to nie fair wobec ewentualnych zarażonych .

Jeśli rzeczywiście szpital nie jest gotowy, to odpowiedni ludzie podejmą odpowiednią decyzję.

I wszystko było fajnie, dopóki nie zadzwoniły rodzone pociechy. Oboje ciężko pracują i rzeczywiście nie mają czasu na śledzenie komunikatów zarazowych. Teraz też źle usłyszały. Córka, że Warszawę zamykają, syn, że to samo czeka „Biedronkę”.

Poinformowałam, że granice zamykają, a sklepy spożywcze mają być otwarte. Co z przemysłowymi? A taki Lidl to nie wiadomo, czy spożywczy, czy przemysłowy. O 21.00 zarządziliśmy rodzinne zakupy. Nerwowe zakupy.

W najbliższym mi dyskoncie nie było maki, kasz, mleka i oczywiście papieru toaletowego. Kupiłam tyle, żeby zapełnić lodówkę na kolejne dwa tygodnie. Jakies konserwy rybne, jakies pasztety, jaja i pierogi w promocji. Niestety, w tym punkcie sprzedaży akurat nie było odkażacza wewnętrznego 40%, a przy nerwówce moich dzieci to byłoby najbardziej wskazane.

I kolejne skojarzenie, literackie rzecz jasna - „Dżuma” Camusa - pani Rieux – matka lekarza, przybywa do miasta tuż przed zamknięciem bram, aby opiekować się domem syna pod nieobecność jego żony. „Była to mała kobieta o włosach przyprószonych srebrem, o oczach czarnych i łagodnych”. Jej spokój i troska napawają doktora nadzieją i dodają mu sił do dalszej walki z epidemią. Kobieta zaprzyjaźnia się z Tarrou i wraz z synem czuwa przy łożu śmierci przyjaciela.

Muszę zachować spokój chociaż to ja jestem w grupie najwyższego zagrożenia....

III

15 marca 2020 - trzeci dzień minął....

film i książka na dziś „Przeminęło z wiatrem”

Na początek podziękowania dla czytelnika, który uświadomił mi, że wirus nie umiera w temperaturze 26 stopni, bo człowiek ma 36 i coś, a wirus w nim żyje. Hura! Ludzie mnie czytają!

Żyję. Chociaż rano myślałam, że już krucho ze mną.

Obudziłam się z katarem, bólem głowy i chrypką. No jest, no to już koniec. Zanim jednak umarłam na zawał, przypomniałam sobie poprzedni wieczór i nocne zakupy. Po powrocie do domu, spanikowana łyknęłam tabletkę nasenną.

Rano uświadomiłam sobie, że zapomniałam łyknąć wieczornej porcji lekarstw z tym na alergię na czele. W moim podzielniku na leki, przegródka „piątek wieczór” była pełna. Ulga. Łyknęłam co trzeba i po pewnym czasie objawy zniknęły.

Przez okno zauważyłam znacznie większą ilość ludzi kręcących się pod blokiem, czyli tak z pięć osób. (Zwykle dostrzegałam jedną, zatem wzrost o 500%.) Wiadomo, sobota, a na dole sklepy.

Zaniepokoiło mnie jednak co innego. Pod drzewami stała grupa, też pięciu albo czterech, „ławkowiczów” (od słynnej ławeczki z „Rancza”). Prowadzili ożywiony dialog. Wywnioskowałam to z mowy ciała, chaotycznej i nerwowej. Coś się szykuje.

Gdy ok. 13.00 wyprowadzałam psa, poczułam na korytarzu znajoma woń przetrawionego alkoholu. Z piwnicy rozlegały się głosy.

No nie!

Mój sąsiad dawno temu urządził sobie w swojej części piwnicy pub. Nie było siły, żeby towarzystwo rozgonić i przybytek uciech procentowych zlikwidować. W końcu każdy może sobie z kumplami we własnej piwnicy siedzieć. Lokatorzy odpuścili zatem walkę o trzeźwość w suterynie.

Ale teraz, w obliczu epidemii, w czasach panowania koronawirusa urządzać imprezy w miejscu ogólnodostępnym? Nie daruję. Jak wrócę z psem nastraszę, że jak złapię wirusa lub będę na kwarantannie, to całe towarzystwo wskażę jako mój kontakt. Niech ich zamkną! Szpital zakaźny blisko!

„Ławkowiczów” już nie było. Rozeszli się. Na wszelki wypadek znalazłam numer do dzielnicowego. Następnym razem zadzwonię.

A teraz szpital.... No właśnie.... Nie da się ukryć, jedyny szpital w mieście, 400 metrów ode mnie, przekształcony zostaje w szpital zakaźny. Na stronach związanych z miastem wrzask, krzyk, przerażenie i wizje apokaliptyczne. Gdzie mają rodzić kobiety? Gdzie udać się z zawałem? Co ze złamaną nogą?

W sumie nie wiem dlaczego, akurat ten szpital wybrano na jedyny w województwie, w którym do tej pory (15 marca godzina 11.00) nie ma wirusa, szpital zakaźny. Kto wybrał? Jak wybrał? W każdym razie rozpoczęła się ewakuacja pacjentów i nikt nie miał nic do gadania.

Znam kilka osób, które w kwietniu miały mieć zabiegi chirurgiczne. Na pewno są wściekłe. Też bym była w stanie wpienia całkowitego.

Gdy dostanę udaru, moja rodzina pewnie pozwie decydentów za brak szybkiej i fachowej pomocy medycznej. Ale gdyby tak dopadł mnie wirus....

Cztery lata temu leżałam w tym szpitalu. Kiedy robiło mi się smutno, wyglądałam przez okno. Widziałam kawałek swego bloku.... Robiło się od razu przyjemniej na duszy....

Myśląc o przeżywających horror ewakuowanych pacjentach, wnerwionych ludzi z odroczonej operacją i wystraszonych nosicieli koronawirusa, przypomniałam sobie „Przeminęło z wiatrem”.

Oto Melania Wilkes zaczyna rodzić. Wokół wojna, Atlanta otoczona przez wojska Północy, walczy. Scarlett idzie szukać lekarza, by pomógł rodzącej. Nic z tego. Lekarz wskazuje umierających na ulicach i mówi, że w obliczu takiej śmierci, nikt teraz nie ma czasu dla rodzącej. Odebrać dziecko to nic trudnego... Scarlett wraca do domu i wraz z nierozgarniętą murzyńską służącą odbiera poród... To się nazywa konieczność wyboru. Zawsze ktoś jest pokrzywdzony.

I gdy prowadziłam sama ze sobą trudną debatę filozoficzną, odezwał się internet. Oto jeden z radnych zaproponował, żeby stanąć przed szpitalem i zablokować drzwi, bo jakaś władza zamyka jedyny szpital na potrzeby Szpitala Zakaźnego. „Zapraszam wszystkich” - zaapelował.

Włos zjeżył mi się na głowie.

Oczywiście, że odpaliłam pisemnie na taką odezwę. Iść w tłum w celu złapania wirusa! Można i tak. Wtedy szpital obsadzimy własnymi ludźmi i obcych nie przywiozą. Reakcja radnego była natychmiastowa:

„Dziwię się, że nauczyciel taki jak Pani dawnej szkoły powinien być za takim podejściem do działania. Podczas Powstania Warszawskiego nikt nie pytał tych młodych 9 czy 15 letnich dzieci czy mają w sercu ojczyznę. W tym przypadku to jest troska o Nasze Miasto, bowiem większe zagrożenie jest w tym miejscu, gdzie jest skupisko budynków wielorodzinnych i pozbawiono Nas jedyne szpitala.”. Zaproponowałam, żeby tak powołać się na krucjatę z 1212 roku.

Dziś już wiadomego postu w sieci nie znalazłam. A świat jaki do tej pory znaliśmy, chyba rzeczywiście przemija z wiatrem...

IV

16 marca 2020 - ... czwarty dzień minął...

film na dziś – "Hobbit – niezwykła podróż"

Dopiero czwarty? Dziś jest piąty? Rety, myślałam, że to dziesiąty... czyżby dopadał mnie kryzys?

Dobrze, najważniejsze, że żyję.

Wczorajszy dzień zaczął się od kawy i zakończenia książki Olgi Tokarczuk „Dom dzienny, dom nocny”. W sumie fajna. Znajome dolnośląskie nazwy miast i miasteczek, swojskie słowa w stylu „poniemieckie” i historie, które doskonale rozumiem... wszak jestem wałbrzyszką, a Nowa Ruda i Kłodzko (po niemiecku Glatz) są mi znane. Słowem, Olga wiernie oddała klimat moich rodzinnych ziem.

Potem zerknęłam w internet, żeby zobaczyć co na świecie. Przeżyłam rozczarowanie. Pozytywne. Byłam pewna, że sieć pełna będzie fotek i relacji z kościołów. Ludzie będą wrzucać wieści o niesfornym narodzie udającym się tłumnie do świątyń. Proboszcze (proboszczowie) będą mówić i pisać o kościele jako szpitalu polowym, a biskupi namawiać do zbiorowych modłów o zniknięcie wirusa.

Tymczasem nic takiego się nie działo. Naród posłuchał i zbiorowo nie chciał się modlić. Msze były w telewizji i w internecie.

I bardzo dobrze. Nareszcie zauważono, że Bóg jest wszędzie. Na nic więc się zdała moja propozycja filmowo-książkowa, czyli „Imię róży”.... Postanowiłam jednak trwać nadal w klasyce. Włączyłam „Na wschód od Edenu”- 1955, a potem „Powiększenie” - 1966.

Sorry kochani.... nie jestem w stanie przekonać się do filmów pierwszego typu, zwłaszcza amerykańskich. O amerykańskiej literaturze nie wspomnę. Nie dociera do mnie „Moby Dick”, Steinbeck ani Faulkner. Jedynie Hemingway podbił moje serce.

Drugi film przed wielu, wielu laty wzbudził moje ogromne zainteresowanie.

Dziś.... niestety.... jakoś mnie nie porwał. Może to nie czas na filozoficzne dzieła?

Wieczorem z przyjemnością obejrzałam „Hobbita – niezwykła podróż”. Trochę odpoczynku po wzniosłych dziełach się należy. Zwłaszcza, że wczoraj nawiązałam kontakt z innymi ludźmi. Oczywiście, że telefoniczny.

Pierwsza koleżanka była w optymistycznym nastroju. Powiedziała, że nie ma się czym przejmować, bo będzie jeszcze gorzej. Ona od kilku lat ma domową kwarantannę, bo opiekuje się chorą, leżącą mamą.

Druga była przerażona. Po pierwsze pracuje w sklepie, do którego przychodzą różni ludzie. Niektórzy kaszlą, niektórzy pociągają nosem, niektórzy roztaczają wizje apokaliptyczne głośno i długo mówiąc. A nie zdają sobie sprawy, że przez takie gadanie kropelki wirusa też mogą się przemieszczać. Bierz człowieku te pięć bochenków chleba i milcz w sklepie! Do tego koleżanka ma widok na dyskont. Każdego ranka trwa tam walka o koszyki, a każdego wieczora przyjeżdżają auta z nową dostawą. Dziki tłum nadal wykupuje, nie licząc się z faktem, że w tłumie o wirusa łatwiej.

Najbardziej zaskoczyła mnie córka. Oznajmiła, że wirus to broń biologiczna. Ktoś chciał wyeliminować Chińczyków, ale nie wziął pod uwagę, że zaraza rozniesie się po całym świecie. Dziwne, specjalistą od teorii spiskowych jest syn....

W każdym razie, nie da się ukryć, mamy wojnę. Taką na miarę XXI wieku. Nie trzeba armat, bomb atomowych i rakiet dalekiego zasięgu, by zlikwidować część ludzkości.

I kiedy wydawało się, że dzień będzie w sumie nudny i niczego nowego nie wnoszący, odezwał się internet i kolejny etap walki o łomżyński szpital.

Wdałam się w pisemną dyskusję z koleżanką, osobą spokojną, logiczną i dobrze ułożoną. Do tej pory. Przekształcenie szpitala w zakaźny sprawiło, że wybuchała emocjami. Negatywnymi oczywiście. Tak jak większość obecnych na portalach mieszkańców Łomży roztaczała apokaliptyczne wizje chorób, na które wymrze miasto, jeśli nie będzie miało szpitala. „A co będzie, jak dostaniesz zawału, karetka na czas nie dojedzie i nie zdążysz do szpitala w innym mieście?” - pytała. Akurat zawał to najmniejszy problem. Mieszkam sama z psem, ten po karetkę nie zadzwoni. I obojętne mi, czy najbliższa kardiologia będzie w Zambrowie, Ostrołęce czy Nowym Jorku.... na nic mi się nie zda.

To miał być oczywiście żart w postaci czarnego humoru. Koleżanka nie załapała. Skończyłam rozmowę.

Długo nie mogłam zasnąć.... Dziś rano wyprowadzając psa, usłyszałam klaksony. Pod szpitalem trwał protest mieszkańców....

V

17 marca 2020 – Teorie spiskowe

film na dziś „Imperium słońca”

Wiem, że wczorajszy felieton był kiepski. Nudy były. Ale... obyśmy takie nudy

do końca epidemii mieli.

Jak już wspomniałam, wczoraj podczas porannego siusiania mojej suni, usłyszałam klaksony dochodzące spod łomżyńskiego szpitala. Trwał protest mieszkańców przeciwko przekształcenia go w jednoimienny zakaźny. W sieci zobaczyłam grupę ludzi z transparentami i jeżdżące nieustannie auta.

Przerazili mnie ci ludzie.... roznoszenie wirusa jak na dłoni. „Ale oni walczą o twój szpital! O twoje bezpieczeństwo!” - ryknęła mi przez telefon koleżanka, gdy powiedziałam jej o obawach. No dobra, przyjmuję do wiadomości.

Prawie pewność, że szpital zakaźny nie powinien być w Łomży, uzyskałam po wypowiedzi prof. Robert Flisiaka, prezesa Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych. Facet przyznał się, że ręce załamał, kiedy dowiedział się, że w szpital będzie zakaźnym.

Tu po prostu nie ma warunków.

Nie ma. Cztery lata temu leżałam na wewnętrznym. Pokoik nie powiem, trzyosobowy. Ale sracz na oddziale tylko jeden. Znaczą się dwa, ale w większym przechowywano umarłych... bo to wewnętrzny przecież.... Brrr.... do dziś pamiętam ten dreszcz przerażenia. Zatem w porządku, jeśli fachowiec mówi, że warunków nie ma to znaczy nie ma.

Po tradycyjnym powrocie ze spaceru z psem (w okolicach szpitala – było już cicho) zabrałam się za szukanie teorii spiskowych. I znalazłam!

W 2015 Bill Gates powiedział: „Jeśli coś zabije 10 mln ludzi w ciągu najbliższych dekad, najprawdopodobniej będzie to wysoce zakaźny wirus, a nie wojna. Nie pociski, a mikroby. Częściową przyczyną są ogromne inwestycje w nuklearne straszaki przy znikomych nakładach na powstrzymanie epidemii. Nie jesteśmy gotowi na kolejną epidemię.”

Niestety, na nic teorie spiskowe... musiałam wczoraj wyjść do ludzi. To, że ja mogę paść na koronawirusa, nie oznacza, że pies musi paść od kleszczy. Oczywiście mogłam poprosić syna, żeby załatwił co trzeba. Ale lepiej, żebym ja padła na wirusa niż on. Ja swoje dzieci już wychowałam. On wychowuje. Założyłam więc rękawiczki od mycia naczyń i ruszyłam.

Stałam twarzą w twarz z weterynarzem. Niestety. Potem minęłam sąsiadkę w sklepie. Niestety. Musiałam tam zajść, bo skończyło mi się mleko i kawa. Spojrzałam w oczy sklepowej. Blisko. Niestety. Przed sąsiednią klatką schodową spotkałam sąsiada wnoszącego płyty kartonowo-gipsowe. „Będzie remoncik?” - zagadnęłam z bezpiecznej odległości. „Jasne! Trzeba ten czas wykorzystać!”. Uświadomiłam sobie, że to będzie trzeci remoncik w bloku.

Weszłam do domu, wymyłam ręce. Rety, świat żyje normalnie. Ludzi na pewno mniej, ale są tacy, co pracują, przebywają ze sobą, chodzą do sklepów... Nie wiedziałam, czy z tego powodu być zadowoloną, czy przerażoną emerytką z chorobami współistniejącymi.

Spojrzałam na półkę z filmami. Dobrze, niech będzie następny z kolekcji „Wybitne filmy XX wieku” - „Imperium słońca” Spielberga. Co prawda z

Japończykami, a nie z Chińczykami, ale też skośnookie.

W nocy znowu nie mogłam spać. Wydawało mi się, że mam wszystkie objawy wirusa. Nad ranem moja sunia dostała ataku padaczki. Pierwszego od trzech lat. Jak dobrze, że oprócz kropelek przeciwko kleszczom kupiłam u weterynarza zapas tabletek uspakajających....

VI

18 marca 2020 – Nudy

film na dziś - „Potop”

Wczorajszy dzień rozpoczęłam od przeliczania dawki leku dla swojej suni. Normalna procedura po ataku padaczki. Tabletkę, którą posiadam to 100 mg, jej średnica – 1cm. Ten centymetr krojłam do tej pory na osiem części, bo pies przyjmował 2x12,5 mg, dziennie – 25 mg. Teraz trzeba zwiększyć dawkę o połowę.

Jako, że jestem specjalistką od nauk humanistycznych i na bank mam dyskalkulię, przeliczenie było dla mnie matematyką większą.

No nie, bardziej się tej tabletki nie da pokroić. Trzeba zmienić sposób dawkowania. Na noc – 25 mg, czyli jedna czwarta tabletki, a na dzień – 12,5 mg czyli owa jedna ósma. Krojenia będzie mnie. Wiem, że najlepiej gdyby były takie dawki bez potrzeby krojenia, ale przez ostatnie pół roku mój, to znaczy Kulki, lekarz nie mógł ich w hurtowni namierzyć. Wypisywał zatem receptę, a ja kupowałam luminal w normalnej aptece. Mam co prawda kilka listków z dawką odpowiednią, ale trzymam je na czas okoliczności niesprzyjających krojeniu. Tak podróż na przykład. Taki pobyt na działce na przykład. Teraz można kroić 1 cm na kilka części.

I co was obchodzi moje krojenie? Pewnie, że nic. Ale dzień szósty minął nudnie. No nic się nie działo.

Dwie prawie godzinne rozmowy z koleżankami dotyczyły co prawda epidemii, ale polegały głównie na powtarzaniu: „ no, u mnie tak samo.... oczywiście, że tak jest.... jak najbardziej prawidłowe działania....” Każda z nas siedzi w domu i ogląda świat z okna, sieci i telewizji. Ja ponoć mam najlepiej, bo wychodzę z psem.

I co robić w ten nudny czas?

Przejrzałam światową mapę koronawirusa... Jak, do przysłowiowej chol.... dostał się on do z Chin do Włoch.... Dlaczego nie zamieszkał najpierw w takiej Rosji. Mongolii czy Kazachstanie? Tam miał bliżej.... Tworzyć kolejne teorie spiskowe?

Synowa przysłała kolejne filmiki z wnusiem. Rety, on już chodzi! Nie widziałam maleństwa przez miesiąc.... najpierw trzytygodniowy urlop na Rodzinnej Ziemi, teraz przymusowe oddalenie z powodu wirusa.... Chol.... uciekną mi dwa miesiące z jego życia.... Jasne, że po tym czasie zapomni jak babcia wygląda.... Smutno mi się zrobiło.

Tych, co siedzą w domu informuję, że krzewy pod moim oknem puszczają

zielone pąki. Wiosna idzie.

Tych, co wychodzą z psami proszę o sprzątanie gówna! Zauważyłam, że jest go coraz więcej. I są to gówna duże! Na pewno nie po yorkach! Rozumiem, że chcecie jak najszybciej wyprowadzić psa i zamknąć się w domu, ale to nie oznacza, że trawnik ma być pokryty odchodami!

Tych, co usychają w domach z nudów, informuję, że mój kolega z powodu zamknięcia biblioteki zaczął na nowo czytać Sienkiewicza, bo tylko to ma w domu. Można? Można! Z tego powodu obejrzałam pierwszą część „Potopu”. A jak! Można ponownie przebrnąć przez prawie trzy godziny walki, chwały, miłości i pięknych koni? Można!

A teraz coś pozytywnego, zwłaszcza dla mieszkańców Podlasia, bo wczoraj niestety, twierdza padła. Jest pierwszy stwierdzony przypadek wirusa na naszym terenie....

Oto w Warszawie jest taki fajny młody muzyk który zapatrzył się na filmiki z Włoch i postanowił zaszcześcić na polski grunt muzyczną imprezę na balkonie. Michał Sołtan miał latem koncert w Łomży. Jako, że nie jestem specem od muzyki, bardziej zwróciłam uwagę na jego starania o przebieg koncertu, przygotowania i skromność. Oby taki pozostał. Wyszedł na swój balkon, zagrał i zaśpiewał!

VII

19 marca 2020 – Daj! Daj! Daj test!

film na dziś „Stawka większa niż życie”

I proszę, wystarczyło nadać felietonowi tytuł „Nuda”, a mało kto go czyta. Rację mają ci, co twierdzą, że tytuł przyciąga czytelnika. Zanim więc skończę ten tekst, jakiś przyciągający tytuł wymyślę.

Wczorajszy dzień minął całkiem spokojnie. Pewnie wszystko przez tabletkę nasenną, którą łyknęłam. Nie śniły mi się koszmary. Nie budziłam się w nocy.

Spacer z psem nie przyniósł nic ciekawego. Pijaczki tzw. „ławkowicze” regularnie spotykają się pod drzewem albo w okolicach śmietnika. Omijam ich w odległości co najmniej 200 metrów. Tacy to nawet nie zauważą, że mają objawy wirusa. Do piwnicy już nie przychodzą. I bardzo dobrze. Tyle tylko, że ludzi jakby ciut więcej na ulicach. Częściej musiałam zmieniać trasę spaceru, co nie podobało się mojej suni.

W wyniku braku tematów godnych klikania w klawiaturę, zaapelowałam do znajomych, by takowe mi dostarczyli.

Koleżanka zaproponowała, by napisać o rodzicach, którzy teraz muszą zająć się swoimi dziećmi i są z tego powodu wkurzeni. Nic z tego. Nie mam dowodów. W sieci są tylko memy na ten temat, a wypowiedzi wkurzonych starych nie ma. Czyli tematu nie ma.

I nagle temat się pojawił. Dostałam donos od ekipy dziennikarskiej. Oczywiście tajny. Bez możliwości podania danych. Dobra, będziemy używać terminy

„telewizja”.

Jest tak:

Wszyscy pochylają głowy nad pracą służb medycznych, sprzedawców, listonoszy, transportowców. Nikt jeszcze nie pochylił głowy nad ekipami dziennikarskimi, które walkę z wirusem nam pokazują. Mój informator myślał, że pracuje w środowisku bezpiecznym. Kręcił się wśród naczelnych władz. Co jak co, kto jak kto, ale władza w czas kryzysu bezpieczna być powinna. Bez względu na opcję polityczną.

Okazało się, że nie. Wiadomy minister okazał się być pod wpływem wirusa. „Wszyscy dostali sraczki” - usłyszałam. Oczywiście rządzący i ich okolice od razu poddali się testom. A ekipy telewizji? Oczywiście, że nie. Zupełnie nieważne, że na co dzień stykali się z władzą, podsuwali jej mikrofony i kamery pod nos, żeby naród się dowiedział. Testy im się nie należą. Nie było wyjścia. Do tej pory ekipy różnych telewizji pomagały sobie. Teraz postanowiły nie stykać się ze sobą. Już wyjaśniam, na czym to ma polegać.

Informator przysłał mi zdjęcie spod jakiegoś ministerstwa z zagadką: „Poszukaj ekip”. Przeniosłam zdjęcie do kompa. Zaczęłam powiększać. Poczulałam się, jak bohater niedawno oglądanego przez mnie filmu Antonioniego „Powiększenie”. Znalazłam tylko jedno stanowisko reporterskie. Podałam się. Informator podesłał to samo zdjęcie z czerwonymi kółkami i nazwami stojących telewizji. Cztery były w znaczącej odległości od siebie. Jak się jakaś telewizja zarazi, to przynajmniej nie zarazi innej. I jakiś przekaz do narodu będzie.

Podobnie ze służbą zdrowia. Znajomy, po uzyskaniu informacji, że lekarz ma wirusa i na pogotowiu jest kwarantanna, zadał w sieci pytanie: „Kiedy wreszcie służba zdrowia się zbuntuje i zacznie chociaż sobie robić testy! Bez zgody PiS!” - zakończył politycznie. No właśnie, kiedy? Za PRL-u, w czasie wrocławskiej epidemii ospy, szczepiono najpierw personel medyczny....

Po południu koleżanka dała znać, że pracuje normalnie w biurze, bo jej szef uznał, że nie ma takiego zagrożenia, by nie pracować.

Druga poinformowała, że jej mąż składa w Niemczech domki letniskowe i nie może wrócić. Nie dlatego, że granice zapchane. Po prostu jego firma podpisała kontrakt na te domki i jeśli ich nie złożą, kontrakt zostanie zerwany. Niemcy nie tylko nie wypłacą nawet części wynagrodzenia, ale również zażądają forsy za zerwanie kontraktu. Nie ma wyjścia. Trzeba składać.

Wieczorem przyjechał syn. Przywiózł zakupy i pyszną drożdżówkę od synowej. Rozmawialiśmy w bezpiecznej odległości na podwórku. Żeby kontaktu nie było. Uściski między nami przenosił pies.

Jak zatem to będzie dalej? Ludzie przebywający bezpośrednio przy chorych testów nie robią. Inni ludzie normalnie pracują. A my - matka i syn – stoimy w odległości od siebie, żeby się nie zarazić?

A teraz wybaczenie, co napiszę.....

W obliczu tego wszystkiego wiadomość o śmierci Emila Karewicza, słynnego Brunnera, wydała się być najspokojniejszą informacją dnia.... Sympatycznie kojarzący się wszystkim człowiek umiera śmiercią naturalną w wieku 97 lat... Może więc świat jeszcze nie zwariował...
Film na dziś? Jest tylko jeden....

VIII

20 marca 2020 – Lincz na zdrowym organizmie?

film na dziś „Ben Hur” z 1959 r.

Oj, ciężką miałam noc. Zasnęłam dopiero ok. 3.00. Ale spałam do 9.00. Moja sunia też. Cóż kochani, wiek 60+ ma swoje zady i walety.

Chyba wszystko przez dżumę, znaczy się przez „Dżumę”, taką powieść Camusa, gdyby ktoś zapomniał. Przeczytałam w całości ponownie. W sumie zaczęłam czytać głównie w poszukiwaniu cytatu, który utkwił mi w pamięci z lat szkolnych. Skromny urzędnik Grand rzekł: „Mamy dżumę, trzeba się bronić, to jasne. Ach, gdyby wszystko było tak proste!”. Miałam nadzieję, że ten cytat podniesie mnie na duchu, bo już zaczęłam świrować sama ze sobą. W końcu świat oczekuje obecnie ode mnie tylko jednego – siedzenia na przysłowiowej du... Czyż jest coś prostszego? Ale brnęłam dalej w dżumę. Dobrnęłam do końca. I podobnie jak przed wielu laty, znaczy się przed potopem, wstrząsnęła mną śmierć Tarrou, umierający na zarazę jako jeden z ostatnich.

No i nocka z głowy.

Trzeba coś w rozkładzie dnia zmienić. Tak doradzi każdy psycholog. Dobrze, że jeszcze nie psychiatra.

No to dziś będzie o tej najprostszej rzeczy, którą dla potomnych obecnie można zrobić - o kwarantannie. Nie o tej narodowej, której wszyscy mamy przestrzegać, (a wczoraj minął ósmy dzień jej trwania i stąd ten dopadający mnie świr...) ale o tę indywidualną.

Sprawa wydaje się być jasna i niezwykle prosta. Wracasz z takiej na przykład zagranicy. Meldujesz się w mieszkaniu takiej na przykład mamusi. I razem z mamusią odbywacie dwutygodniową kwarantannę.

Tymczasem w sieci i przeprowadzonych przeze mnie rozmowach z informatorami, zaczyna się pojawiać coraz więcej wieści o niezrozumieniu pojęcia kwarantanna przez różne indywidua.

Właśnie wczoraj dostałam cynk, że w pewnej kamienicy mieszka sobie rodzina z dzieckiem. Przyjęła pod swój dach szczęśliwego rodaka z takich Niemiec na przykład. Oczywiście cała rodzinka powinna się cieszyć i świętować udane przekroczenie granicy przez kuzyna. Przez dwa tygodnie oczywiście. Alkoholowo też można. Czemu nie?

Po paru dniach do świętującej rodzinie dociera jeszcze dwóch przybyszów. W mieszkaniu robi się ciasno, ale swojsko. Okres przymusowego pobytu oczywiście się przedłuża o ten czas. Czas ponownego nawiązania kontaktów rodzinnych, czas rozliczeń z przeszłością rodzinną, czas no jakiś tam czas czegoś.

I wtedy okazuje się, że pani domu nie wytrzyma i wychodzi.

Może rzeczywiście po zakupy? Może do bankomatu po forszę? Może, żeby choć na moment odizolować się od rodziny?

W każdym razie policja albo sama z siebie, albo po anonimowym, słusznym zresztą, wezwaniu podjeżdża pod kamienicę i stwierdza złamanie zasad. Oczywiście pani za złamanie kara się należy. Oczywiście porządny opie... dol od sąsiadów też. Nie tylko od sąsiadów.

Ale żeby od razu sra... żarem?

Na kamienicę, znaczy się jej mieszkańców pada natychmiastowy blady strach. Są przerażeni, biegną do sklepu po jakikolwiek płyn odkażający, z reguły jest to spirytus 95%, bo to i ręce odkazić można i napić się też. Wszyscy wytykają mieszkanie sąsiadów palcami, drą się na całe osiedle „Nie podchodzić! Kwarantanna!” U części zaczyna się ból głowy. Niektórzy zaczynają kichać. Jeszcze inni dostają biegunki. Słowem – czują się jak zarażeni.

Czy taka historia wydarzyła się naprawdę? Tego wam nie powiem. Chodzi mi jednak o coś innego.

Wczoraj przeczytałam kilka postów apelujących o podawanie danych osób zarażonych. „Wtedy łatwiej będzie ustalić kontakty” - ktoś napisał.

Jeśli osobę na kwarantannie piętnujemy, słusznie zresztą, to oczami wyobraźni widzę, jak traktowana jest rodzina zakażonego... Jeśli wiadomość o pobycie sąsiadów na kwarantannie powoduje atak koronawirusa, to co zrobią ludzie, kiedy dowiedzą się, że sąsiad zarażony? Lincz na zdrowym organizmie?....

I z takim wnioskiem was dziś zostawiam.

Ci na kwarantannach niech siedzą jak mają siedzieć. Aha, obejrzyjcie jakiś porządny film. Polecam „Ben Hura” z 1959 roku. Lubię go. Wieje optymizmem.

IX

21 marca 2020 - Szkoła a papier ksero

film i książka na dziś „Podróż za jeden uśmiech”

Oczywiście, że dziś o nauczycielach, wszak emerytowany belfer ze mnie i kolegom po fachu moja uwaga się należy.

Zajęcia szkolne w szkole odwołane do świąt. Ale mają się odbywać zdalnie, wirtualnie, monitorowo czy komputerowo. Jak zwał tak zwał. Wiemy o co chodzi. Nauczyciel ma uczyć przy pomocy sprzętu na odległość.

Ktoś w sieci przypomniał, że kiedyś już to było. Nazywało się Telewizyjne Technikum Rolnicze. Były też kiedyś lekcje telewizyjne. Z pierwszych lat pracy pamiętam tworzenie planu lekcji w małej, wiejskiej szkółce.... najpierw wstawiano polski i matkę w czasie, kiedy lekcja była w tv. W sumie więc jakby się uparł, pomysł nie taki nowy. Ruszyli więc nauczyciele do boju o kształt nowej szkoły. Oj, ruszyli.

W ubiegłym roku byłam jeszcze czynnym nauczycielem. Pozostała mi z tych czasów grupa na wiadomym portalu. Nie wyrzucili mnie. Dziś czytam, co się w szkole dzieje. Czcionka wydaje mi się być czerwoną od ilości zadawanych podczas dyskusji pytań. Jak uczyć? Wysłać mailowo czy przez „librusa”? Układać zadania czy trzymać się podręcznika? Co robić jak uczeń nie odbierze wiadomości? Nowe wiadomości czy powtórzenie materiału?

Do tego dochodzą zagadnienia techniczne związane z oprogramowaniem prywatnych komputerów. Tych nie powtórzę. Tępa w tym zakresie jestem. Słowem – uwierzcie, moi koledzy po prostu starają się.

Ze strony rodziców wygląda to różnie. Zaczniemy od spraw praktycznych. W telewizji pokazywano nowoczesną szkołę, w której nauczyciel siedzi przed kamerą, a na ekranie ma wizerunki uczniów, którzy siedzą przed swoimi kamerami. Praktycznie normalna lekcja. Nie zaprzeczam, są takie szkoły.

W większości jednak jest zupełnie inaczej. Po pierwsze nie każdy nauczyciel dysponuje prywatnym sprzętem pozwalającym mu na taki kontakt z uczniami. Co ja mówię, nauczyciel.... Szkoła nie dysponuje!

Po drugie – Czy każdy uczeń o wskazanej godzinie ma dostęp do kompa? Wyobraźmy sobie rodzinę 2+2, w której dodatkowo tata pracuje zdalnie, czyli w domu, a laptopy są tylko dwa? Kto ma do dyspozycji tylko „komórkę”?

Pozostaje zatem jedyna możliwość – wysyłanie linków do materiałów znajdujących się już w internecie i zadań do wykonania.

Taka ja problemu by nie miała. Uczyłam polskiego więc treści związanych z przedmiotem w sieci multum. Uczeń jak chce to obejrzy. Jakąś książkę do czytania na ekranie też można zlecić. Podejrzewam, że podobnie może być z taką geografiją. Rodzic nie musi w niczym pomagać. Gorzej mają przedmioty ścisłe. Szczerze mówiąc nie wyobrażam sobie samodzielnej realizacji jakiegokolwiek tematu z matmy począwszy od siódmej klasy podstawówki. Sama nie dałabym rady, o udzielaniu pomocy własnemu wnukowi na przykład – nie wspominając. Tu potrzebny jest żywy człowiek.

Rodzice mogą mieć zatem problem. Zwłaszcza humaniści. Ale sygnalizowane przez rodziców problemy są inne.

Oto pojawiły się głosy, że nauczyciele przysyłają zbyt wiele materiału i zadań do wykonania. Początkowo, nie powiem, chciałam ich poprzeć. Ale przypomniałam

sobie normalną lekcję. Ludzie, tyle właśnie „materiału” omawiamy podczas normalnej lekcji! Fakt, odbywa się to, na przykład na polskim, w formie ustnej. Teraz musimy przenieść to na piśmienną...

Kolej na uczniów.... teraz tylko i wyłącznie od nich zależy, czy będą się uczyć, czy nie. Dla mnie to nic nowego. Zawsze mówiłam, że to tylko i wyłącznie im powinno zależeć na nauce. Ja już swojego się wyuczyłam, a pensję będę miała zawsze taką, jaką ustali władza, niezależnie od ocen, które wystawię. Moja postawa nie podobała się co niektórym. Uważali, iż ucznia trzeba do nauki zachęcać. A teraz proszę, wszystko w rękach i głowie ucznia.

Cóż kochani, nikt nie był przygotowany na takie nauczanie. Po epidemii już świat nie będzie taki sam jak był. Szkoła też musi się zmienić.

Aha, jeszcze jedno.... moja była uczennica napisała, że zamiast papieru toaletowego mogła kupić więcej takiego do ksero.... drukuje te zadania, drukuje.... a papieru do drukarki mało... Jeśli więc i wy wysyłacie zdania, by je drukować.... odpuście sobie.

Warto wrócić do starego sposobu zapisu – w takim zeszycie. Mam nadzieję, że w dobie drukarek i ksero ktoś jeszcze pamięta, co to jest kajet....

X

22 marca 2020 - „Odrobinę szczęścia.... jedną małą chwilę radości”

film na dziś „Deszczowa piosenka”

Kiedy rozpoczynałam pisanie na kwarantannie, postanowiłam dokładnie opisywać, co się działo poprzedniego dnia. W pewnym momencie zrozumiałam, że wciąż dzieje się to samo, czyli nic się nie dzieje.

Postanowiłam zatem podejść do tematu kwarantanny problematycznie. Każdego dnia opisać jakiś problem, który rzuca mi się w oczy i uszy oraz mój stosunek do niego. Nawet mam kilka na najbliższe dni.

Aż tu nagle wczoraj wieczorem – rewelacja! Coś się wydarzyło!

Zacznijmy od początku. Przebywając na narodowej kwarantannie, każdy szanujący się obywatel coś robi. Koleżanka na przykład – biżuterię. Ja na przykład – piszę i słucham starych płyt winylowych.

A znany filmowiec, którego też znam osobiście – Petro Aleksowski wpadł na pomysł, by zmontować film z filmików przesyłanych przez tzw. zwykłych ludzi, przedstawiających ich zajęcia w czasie przymusowego pobytu w domu.

Kolejna ciekawa postać, o której już pisałam – muzyk Michał Sołtan zaczął grać na balkonie ku uciechu sąsiadów i dużym zainteresowaniu internautów, bo mini koncerty nagrywa jego dziewczyna i przekazuje w eter.

Oba, jak to się teraz mówi – projekty (ongiś – pomysły) bardzo mnie zainteresowały. Filmy na słabej jakości kamerce w równie słabej jakości telefonie mogę nagrywać i wysyłać. Jeśli nawet Petro ich nie wykorzysta, będzie pamiątka z

czasów wojny z wirusem. Kilka wysłałam.

Każdego dnia czekam również na nowinki ze strony Michała. Ponoć występował w jednym z programów muzycznych. Nie wiem, nie oglądam. Ja nie od muzyki, ja od literatury i koszykówki. Ale widziałam go w Łomży. Obserwowałam, jak przygotowuje się do koncertu, jak bardzo się stara, żeby wszystko grało. Nie tylko gitara i jego looper (może i niepoprawnie powiedziane ...). W sumie uznałam, że dzieciak (dla mnie) ma to „coś” i warto obserwować jego losy.

Wczoraj, kiedy wróciłam ze spaceru z psem, wzięłam prysznic i tradycyjnie usiadłam przy kompie, by odczytać ostatnie wiadomości z frontu.

Ujrzałam krótki film z moją piwnicą. Znaczący się fragmentem jednego z moich nieudolnych filmików. Petro zmontował. Dodał fragment występu Michała na balkonie.

Ludzie! Poczulałam się jakbym co najmniej Oscara dostała za współpracę przy realizacji filmu! Tak, to był ten promyk radości, którego było mi trzeba. Gęba mi się zaczęła chachać. Dobra, będę nagrywała dalej! Dobra, będę nadal słuchała Michała!

Piesku kochany, popatrz, to nasza piwnica! - przemówiłam radośnie do swej suni.

Rety, jak pozornie niewiele człowiekowi trzeba, żeby roześmiać się, żeby zapomnieć o stanie obłąkania, żeby poczuć, że to co robi, ma sens, że świat jeszcze ma sens. Bo, nie wiem jak was, ale mnie zaczynają dopadać epizody, zwane depresyjnymi....

Wczoraj zasnęłam bez pomocy tabletek. A zasypiając myślałam o kolejnych filmikach, piosenkach i wiosennym przymrozku za oknem.... To oznacza, że jutro będzie piękna pogoda.

XI

23 marca 2020 – Mały wredny hitlerek

film na dziś „Operacja Samum”

Już wiem na pewno – jesteśmy w stanie wojny. Wojny światowej oczywiście. Z wirusem oczywiście. Taki mały wredny hitlerek załatwił nas na cacy. Wąsika co prawda nie ma, ale koronę na całym ciele tak. Znak rozpoznawczy jest. I na razie idzie przez świat, po trupach do celu. Jaki ten cel? A diabli wiedzą. Teorie spiskowe mnożą się nadal.

Hitlerek strzela do nas kichaniem i kaszlem (chyba, że jest to wuc narodu i kaszle w radiowym studio, wtedy to jest niewinny kaczonek).

Biedni dziś alergicy, co to kichają i kaszlą z powodu pyłków.... Jeśli przez przypadek kichną na balkonie, sąsiad od razu zawiadomi wiadome służby i alergika zawiozą do zakaźniaka. Niby taka kwarantanna dla alergika dobra. Siedzi w domu i nie ma kontaktu z nikim i niczym, z rozkwitającą przyrodą przede wszystkim. Ale jeśli w domu nagle, nieoczekiwania zakwitnie jakiś kwiat doniczkowy?

U mnie na przykład sfiksowały „grudniki”. Kwitnie już drugi. A ja mam na przyrodę alergię. I co robić? No dobra, bez przesady. Łykam tabletki, które kupiłam tuż przed atakiem hitlerka na Polskę. I do tego mam zabudowany balkon. Nawet jak sobie kichnę, to sąsiad nie usłyszy. Zwłaszcza, że nie siedzi na balkonie.

A ja ostatnio siedzę. Dotleniam się. Biorę kawę, ciastka, w pokoju włączam starą winylową płytę i delectuję muzyką „Niebiesko – Czarnych” czy Krzysztofa Klenczona. Każdego dnia jedna płyta.

„Mam ich pięćdziesiąt” - poinformowałam kuzynkę.

„Zabraknie ci, to ma trwać trzy miesiące”.

„Spokojnie. Mój stary sprzęt ma jeszcze kieszeń na kasety. Tych mam około setki”.

No więc mały, wredny hitlerka atakuje. Nie ściska w dłoni karabinu, nie przychodzi nocą, co to kolbami w drzwi załomocą, ale uściskiem potrafi człowieka uszkodzić. Przeskoczyć z jednej ręki na drugą podczas przyjacielskiego powitania. Ludzie noszą więc rękawiczki. Ja też. Mam dwie pary. Po powrocie z wyjścia z psem (trudno nazwać to spacerem) wrzucam je do umywalki i szoruję podobnie jak dłonie. Nie zaszkodzi. A pomoc może.

Hitlerka ma czapkę lub pelerynę niewidkę (w zależności od tego, czy odwołamy się do baśni czy do fantazy). Dzięki temu zjawia się wszędzie tam, gdzie chce. Nie sposób go przegonić.

Drwi sobie z polityków i zaciera ręce, kiedy w takiej Polsce na przykład jeszcze nikt nie odwołał wyborów prezydenckich. Oj, będzie miał używanie, oj będzie miał. Kiedy się ludziom będzie wydawało, że już go mają w garści, kiedy zaczną rozbrzmiewać na wiat dzwony, on z uśmiechem na niewidzialnych ustach rzuci się na urny, karty i wyborców.

Bo to hitlerka przecież. Tak łatwo się nie podda. Tym bardziej, że pierwotny plan mu się nie udał. Miał zaatakować w kościołach. A tu nic. Ludzie nie przyszli. Czas nadrobić zaległości w maju. Zrobi więc przyczajkę w okopach (niekoniecznie Świętej Trójcy – to z „Nieboskiej komedii”) i hura! Hajże na wybory!

Hitlerka obecnie dyktuje nam jak żyć. Najpierw kazał rzucać się na sklepy i brać wszystko, co pod ręką. Oczywiście wszystko w celu rozprzestrzenienia się pośród amatorów chleba i papieru toaletowego. (Aha, sprawy papieru nie rozgryzłam do dziś.... ma ktoś jakieś pomysły?)

Zamknął nas w mieszkaniach. Rozdzielił rodziny w tym samym mieście. Wnuka nie widziałam już pięć tygodni. Jako osoba z chorobami współistniejącymi, nie będę narażała najbliższych na kontakt z hitlerką. Oni zaś nie chcą narażać mnie.

Bo ja, emerytka, mogę się okazać bardzo ważna.

Wczoraj koleżanka w rozmowie, telefonicznej oczywiście, powiedział, że jej syn już stracił pracę. Firma zamknięta, a ci co mieli umowy tzw. śmieciowe oraz pracowali w niej najkrócej, poszli na przysłowiowy bruk. Koleżanka ma emeryturę i

dorabia jako sprzedawca. Kto wie, czy nie okaże się, że będzie musiała wziąć na utrzymanie przynajmniej jednego wnuka?

Ile takich sytuacji będzie, kiedy wreszcie hitlerka pokonamy? Wierzę, że pokonamy. Jak uczy historia każdy dyktator w końcu swój żywot polityczny kończy. Z tym pozytywnym akcentem was dziś zostawiam.

XII

24 marca 2020 – Reklama w zwykły dzień

film na dziś „Truman show”

Ostatnio namnożyło mi się tematów. Znajomi podesłali. Nawet zapisałam w kalendarzu. Odręcznie. A co, zdarza mi się jeszcze zapisywać coś odręcznie. I nawet potem potrafię rozczytać.

Zatem zacznijmy.

Z kronikarskiego obowiązku melduję, że zmieniałam czas codziennego długiego spaceru z psem. Do tej pory wychodziłam w samo południe. Bo to najcieplej i tak fajnie kojarzy się z westernem, czyli ze starymi, dobrymi czasami....

Teraz wychodzę ok. 20.30. Dlaczego? Powód jest jasny – w samo południe sporo ludzi wychodzi. I to nie tylko z psami. Ludzie po prostu myślą, że nie ma innych ludzi i łażą. No to ja będę łazić nocą. Jest całkiem niezłe. Mrozik. Świeże powietrze. Ludzi – zero. No, czasami ktoś przemknie chyłkiem.

Spędzam również około godziny na balkonie. Wietrzę się. Czasami zerkam co na dole, na ulicy. Osiedlowa silna grupa pod wezwaniem nadal spotyka się oczywiście w grupie cztero lub pięcioosobowej i ma małego, wrednego hitlerka gdzieś.

Sąsiad od czasu do czasu gra na akordeonie. Odwdzięczam mu się muzyką ze starych winyli. Sąsiadka nadal po ósmej rano śpiewa nabożne pieśni. To ważne. Jest już wiekowa. Jeśli któregoś ranka jej nie słyszę, zaczynam się martwić. Również mam nadzieję, że modli się także za takiego niedowiarka jak ja.

Dzień wczorajszy był pogodny. Pięknie ładują się moje „światliki” na baterie słoneczne. Wieczorem błyskają w doniczkach. A największy wędruje do sypialni. Świeci całą noc. Ładnie jest.

Syn był na naszej rekreacyjnej działce. Prąd nadal jest. Woda też. Nie została co prawda przebadana, czy do spożycia się nadaje, (mieliśmy to zrobić wiosną...), ale wymyć się można. Taką do spożycia ktoś zawsze przez siatkę podrzuci. Gdyby więc front niebezpiecznie się przybliżył, jest droga ucieczki. Pod las. Do przyczepy kempingowej.

I tak oto minął kolejny dzień narodowej kwarantanny. Nic nowego. Nuda. Oby tak do końca.

No właśnie, kiedy koniec? O tym nikt nie wie.

A teraz pytanie – co w dzisiejszych czasach najbardziej was śmieszy? Ja mam ubaw z reklam. Wszystkich. Tych telewizyjnych przede wszystkim. Wiem, że

wykupione, zapłacone i „iść” muszą. Pytanie „po co?” jest pytaniem retorycznym. Kto dziś biegnie do dyskontu po dwa produkty w cenie jednego? Ten, co rzeczywiście zapasów wcześniej nie zrobił. Ten, co akurat poszedł po artykuły pierwszej potrzeby lub jakiś samobójca, któremu życie miłe nie jest.

Chociaż....

Mam koleżankę, która jest na pierwszej linii frontu jako dostawca. Sprzedaje pieczywo. Przed atakiem małego, wrednego hitlerka jej sklepik był prawie jak konfesjonał. Ludzie przychodzili, skarżyli się na innych ludzi, dzielili się plotkami, opowiadali o swych chorobach.

Wojna zmieniła ten stan rzeczy. Koleżanka stoi teraz za osłoną z „pleksy” i stanowczym głosem każe szybko kupować i robić jeszcze szybszy wypad ze sklepu. Większość rozumie. Ale zdarzają się elementy niekumate.

„Wsadza mi taki facet głowę za tę pleksą i chce mi coś po cichu, w tajemnicy powiedzieć!” - ryknęła oburzona przez telefon.

No i taki facet na pewno pobiegnie do dyskontu po trzy napoje w cenie jednego.

Dobra, produkty spożywcze można usprawiedliwić. Ale reklama wyjazdów na urlop?

Śmieszą mnie też reklamy w skrzynkach pocztowych. Wyobraźcie sobie, że nadal są! Przynajmniej u mnie. Wczoraj ktoś podrzucił broszurki dyskontu.

Wiadomo, zamówione, opłacone, wydrukowane do ludzi pójść muszą.

Rozumiem reklamy sklepów internetowych. Jedyne one mają dziś sens.

Pozostałe znikną za ok. miesiąc. Wcześniej wykupiony czas antenowy wyczerpie się.

Dziś pewnie mało kto reklamy w takiej na przykład tv zamawia, zatem wkrótce nie będzie ich na naszych ekranach. I paru mniejszych telewizji też....

XIII

25 marca 2020 – Wybory i nastolatka

film na dziś „Grease”

Zacznę od najważniejszego. Chodzi oczywiście o przesławne wybory prezydenckie.

Kochani, ich nie będzie. Rządzący po prostu celowo i z premedytacją wnerwiają naród będący w opozycji do nich. Wysyłają również sygnał niepokoju do swego elektoratu. Parę dni przed wyborami ogłoszą, że wyborów nie ma i prędko nie będzie. Okażą w tym momencie litość dla całego narodu, opozycji też oraz udowodnią, że słuchają głosu ludu. I naród to kupi. Może nie cały, ale część tak! I będzie to ta cześć, która zagłasuje na wiadomo kogo. I w ten sposób wiadomo kto wygra.

Jest jeszcze jedna opcja. - rządzący są tak mocno wierzący, iż wierzą w cud uzdrowienia narodu do 10 maja.

Zaraz, zaraz, ale czy to jest teraz rzeczywiście najważniejsze? Może mnie, siedzącej w domu już się w głowie miesza? Czy naprawdę nie ma ważniejszych

spraw?

Oczywiście, że są. Wszyscy wiemy jakie. Trzeba pokonać małego, wrednego hitlerka.

Rządzący ogłosili kolejne zakazy i nakazy. Nie ruszają mnie. Mam psa, wychodzić muszę. Wyszłam około 21.00. Pusto. Tylko gdzieś tacy jak ja – psiarze. Jeden oddalony od drugiego o jakieś 50 do 100 metrów. Zastanawiam się, czy ktoś obecnie monitoruje, ile z osób posiadających psy jest nosicielem hitlerka, ile choruje, ile jest zdrowych. Pozornie powinniśmy być w lepszej kondycji niż ci, co muszą siedzieć w domu. Wszak wychodzimy na świeże powietrze, mamy trochę ruchu, może w przypadku ataku – przeżyjemy?

A powietrze jest super. Wczoraj w dzień chłodno, ale piękne bezchmurne niebo, wieczorem lekki mroziak. Aż chciało się oddychać pełną piersią. Tradycyjnie spędziłam godzinę na balkonie wystawiając twarz do słońca.

Jedna z moich czytelniczek zaproponowała, by zająć się tematem „Kto może coś kupić do zjedzenia na następny tydzień?”.

Zacznę inaczej. Nie ma to jak pokolenie wychowane na kolejkach z lat osiemdziesiątych, czyli takie jak ja. W domu zawsze coś do żarcia jest. Kiedy ogłoszono narodową kwarantannę, stwierdziłam, że na przez dwa tygodnie z głodu nie umrę. Ale jak narzucę sobie dietę odchudzającą, co w moim przypadku byłoby wskazane, przeżyję nawet trzy tygodnie. Gorzej z tymi, co kupują jedzenie z tygodnia na tydzień. Rzeczywiście, nie mają wyjścia jak skorzystać z pomocy innych. Co ja bym zrobiła?

Najpierw skontaktowałbym się z rodziną i znajomymi. „Robisz zakupy dla siebie? Zrób i dla mnie!”. Gdyby to zawiodło, kontakt poprzez internet „Kto robi zakupy starszej pani?”. W Łomży jest taka grupa na wiadomym portalu, na którym można napisać o swoim problemie lub zaproponować pomoc.

Można jeszcze wesprzeć lokalnych restauratorów, którzy oferują jedzenie na wynos. Dzwonisz, przywożą... Jest szansa, że z głodu nie pomrzemy.

Tak więc myśląc, analizując spaceruję z sunią po opustoszałym osiedlowym skate parku....

Nagle, po ścieżce rowerowej obok mnie przelatuje wichura, tornado czy jak to zwał tak zwał. Postać na rolkach. Zasuwa w tempie F1. Podczas kiedy ja idę krokiem normalnym, postać mija mnie ze trzy razy, znaczy się robi trzy kółka. Mój pies, który zwykle na rolkowiczów i rowerzystów czeka, tym razem nie ma szans.

Za czwarty razem osoba staje. Dotyka czapki i rozpoczyna rozmowę telefoniczną. O proszę, słuchawka w uszach. Przyglądam się. Nastolatka. Normalna nastolatka. Podejrzewam, że nie wytrzymała siedzenia w domu. Wyszła nocą na rolki i śmiga szybciej od wiatru. Dla relaksu, dla wyładowania energii. Pieszy patrol policyjny jej nie dogoni.

Teraz stoi, słucha i wreszcie odpowiada: „Mam to gdzieś. Sprawdzian mogę poprawić. W żadne pierdo.....ne projekty nie będę się bawić. Nie przeszkadzaj mi. Mam ważniejsze sprawy na głowie niż szkoła!”.

Rozłączyła się i pomknęła dalej....

Szalona? Normalna?

Sama nie wiem.... Wróciłam do domu, wypłam ostatnie piwo.... Cholera, czy w ramach pomocy ktoś kupi mi jakiś sześciopak?

XIV

26 marca 2020 – System padł!

film na dziś „Billy Eliot”

I oto mamy kolejny dzień. Słoneczny. Właśnie wyniosłam na balkon swoje „świecidełka” czyli lampki na baterie słoneczne. Podczas wieczornego seansu filmowego oświetlę mi mrok zarazy. A teraz do rzeczy.

Pisząc wczorajszy felieton obserwowałam równocześnie, co też dzieje się w polskiej oświacie. Miał to być pierwszy dzień nowej, polskiej szkoły. Dzień „zero” miał pokazać jak bardzo do tzw. zdalnego nauczania potrzebne są głównie chęci i silne nerwy, jak się chwilę potem okazało.

Najpierw minister powiedział nauczycielom, iż w czasach panowania małego, wrednego hitlerka powinni pokazać, że nie tylko strajkować potrafią, że do nauczania młodego narodu się nadają. W sumie źle nie było. Ja pamiętam ministra, co groził laską strajkującym nauczycielom i powoływał się na wojenne tajne nauczanie. Wtedy brzmiało groźnie. Bo jeśli to była laska niejakiego Kwinty z „Vabanku”?

Potem minister zarządził obowiązkową szkołę przez internet. Rozporządzenie dotarło również do mnie. Coś nowego, ciekawego.... e tam, te sam bełkot co zawsze w takich dokumentach – przekazuje, koordynuje, ustala, wskazuje, zapewnia.

Pisemko dotarło do kuratora, kurator dołożył swoje ostre „sprawdź” i przesłał dyrektorom. Ci z kolei podrzucili nauczycielom z wyraźnym ostrzeżeniem „Na pewno sprawdzę!” A wszystko ma wykonywać nauczyciel. Normalna hierarchiczna zależność. Minister będzie sprawdzał sprawozdania kuratora, kurator dyrektorów, dyrektor nauczycieli. Bo przecież nie wystarczy, że taki nauczyciel wyśle uczniowi przez facebook linka do filmu o rozmnażaniu królika w porównaniu z rozmnażaniem pantofelka. Taka przesyłka musi być odnotowana w annałach dyrektorskiego komputera, z dokładnym opisem który rozdział i paragraf podstawy programowej realizuje, jakie cele osiąga i jak to sprawdzić. Znaczą się sprawdzić, czy uczeń się zapoznał i wyuczył. Bo może nauczyciel wysłał uczniowi link do filmu „Kto wrobił królika Rogera”?

Tak więc naród nauczycielki usiadł przy swoich laptopach, często zarekwirowanych pracującemu zdalnie mężowi.

O dziwo, zasiedli też uczniowie! Tego fenomenu zrozumieć nie potrafię, ale dobrze, że się wydarzył. Skąd takie moje wnioski?

Bo system padł!

Wszystkiego i wszystkich było za dużo!

Czyż mogło być coś wspanialszego niż wizerunek narodu spragnionego wiedzy i ludzi pragnący tę wiedzę przekazywać!

Cieszyć się!

Radować się!

I tak to się wczoraj cieszyłam. Czas na refleksje przyszedł później. Nauczyciele skarżyli się głównie na to, że system nie chce współpracować w momencie przesyłania załączników.

Przypomniały mi się czasy mojej edukacji....

W pierwszej klasie złamałam nogę. Przez dwa zimowe miesiące siedziałam w domu. Głównie przy oknie patrząc na zimowe zabawy kolegów. Ciężko było....

Uczyła mnie mama. A wówczas pierwsza klasa to była nauka czytania, pisania i liczenia. Nic więcej. W ramach plastyki robiliśmy dekoracje na choinkę, w ramach muzyki śpiewaliśmy kolędy... A wiedzę o historii, przyrodzie czy geografii uzyskiwaliśmy od rodziców. Ci wspominali dzieciństwo, planowali zasiew na przydomowym ogródku, a potem razem oglądaliśmy zbierane przez nas widokówki...

Niezwykły źródłem były książki. Człowiek po prostu czytał, czytał.... Jako nieco starsza uczennica, już bez złamanej nogi, zakochałam się w podróżniczych książkach Arkadego Fiedlera i na lekcjach wiedziałam o określonych krajach więcej niż było to w podręczniku od geografii.

Wiedzę ogólną moje pokolenie czerpało ze swego otoczenia.

Dziś młodzież powinna ją czerpać z dostępnych szeroko źródeł. Może więc warto podrzucić młodym jedynie kilka linków....

Może warto zaproponować jakiś projekt obejmujący kilka przedmiotów? Jak chcecie mogę coś wam podpowiedzieć...

Bo wiecie co, to nie tylko system operacyjny wczoraj padł.

Wczoraj padł cały system nauczania w Polsce.

Padły wszystkie nasze podstawy programowe.

Mały wredny hitlerek pokazał nam, że to już koniec istniejącego systemu.

Zamiast ratować stare, myślcie jak wprowadzić nowe.

XV

27 marca 2020 – Wirtualnie w maseczkach

film na dziś „Spiderman” (z 2002 r.)

Moje znajome z wiadomego portalu szyją maseczki. Praktycznie wszystkie. Jedna z nowych, nieużywanych chusteczek do nosa, bo takowe w szafie znalazła.

Kiedy rzeczywiście takowe były. Bawełniane. Czasami bardzo ładne. Delikatne. Czasami „obrabiało się” je wzorkiem z kordonka. Taka koronka ręcznie robiona powstawała wokół kwadratowego materiału. Do wykonania używano szydełka. Takiego cienkiego. Robiłam je osobiście. Dziś nie mam żadnej.

Kolejna znajoma znalazła w domu materiał na pościel. Też się nada. Inna – kawałki fizeliny. Ktoś tam jeszcze coś. Kobiety szyją.

No to też powinnam uszyć. Przynajmniej dla siebie. Bo kichać zaczęłam.

Kichnęłam wczoraj na porannym wyjściu z psem. Dozorca sprzątającym codziennie teren podskoczył z wrażenie i strachu. Stał prawie cztery metry ode mnie. Cykor go jednak złapał.

Nie, w tym przypadku to nie mały wredny hitlerek. To alergia. Na dworze słońce. Niebo praktycznie bez chmur. Roślinki zaczynają rosnać. Jako alergik muszę od czasu do czasu kichnąć.

Oczywiście, że znalazłam tkaninę, nici, gumki i tasiemki.

I przypomniałam sobie, że od paru miesięcy mam zepsutą maszynę do szycia.

Cały misterny plan w pis....

Uszyłam więc ręcznie tylko dwie dla siebie. Na zmianę. Żeby ludziom dać cień nadziei, kiedy ponownie alergicznie kichną. Włożyłam maseczkę i wyszłam na wieczorny spacer z psem.

Bo o wychodzeniu dziś będzie mowa.

Zrobiłam telefoniczną ankietę.

Koleżanka „A” wychodzi. Była w aptece, u weterynarza i w sklepie. Musiała wykupić lekarstwa, oddać do analizy mocz chorego kota i kupić podstawowe artykuły do przeżycia. Oczywiście, że spotyka znajomych. Machają sobie z daleka. Wykrzykują dobre życzenia i jak najszybciej wracają do domu.

Koleżanka „B” też wychodzi. Do sklepu. Ma go pod przysłowiowym nosem. Najpierw wyrzuca śmieci, potem kupuje. Już dawno zaopatrzyła się w maseczkę. Taką całkowicie ochronną, bo na tylną część głowy też wchodzi. „Kominiarka?” - pytam. „No nie, w aptece kupiona”. Ale nie da się ukryć – podobna do takich z napadów.

Koleżanka „C” musiała jechać miejskim autobusem. Kierowca odgradzony od pasażerów biało-czerwoną taśmą. Biletu nie ma gdzie kupić. Pojechała za darmo. Zapewne większość komunikacji miejskiej pracuje obecnie społecznie.

I tak mogłabym wymieniać swoje koleżanki. Wszystkie zachowują się grzecznie. Wychodzą, kiedy muszą.

Ja oczywiście też muszę. O porannym wyjściu już pisałam. W południe też pies chciał siusiu. Wyszłam, okrążyłam śmietnik i skręciłam w alejkę w prawo. Nagle koło mojej suni pojawiła się inna sunia. Bez smyczy. Rety, gdzie jest właścicielka!? Kiedyś obie dziewczyny psiego rodzaju omal nie zagryzły się na śmierć! Po prostu –

nie lubią się. Tym razem wyprowadzał pan. Krzyczę więc do człowieka, żeby zabrał psa. A on mi z uśmiechem, że jego pies nikomu nic nie zrobi. „Panie, ale mój może zrobić! Weź pan swego na smycz!” - ryknęłam na całe osiedle. Pan był zdziwiony. Wzięłoby na smycz, gdyby ją miał. Przywołała psa do siebie, po czym zakomunikował stanowczym głosem: „Ale ja tędy chcę iść”, co oznaczało, że mam opuścić alejkę. Dżentelmen, choroba. Żałuję wówczas, że alergicznie nie kichnęłam. Narobiłoby w gacie ze strachu przed hitlerkiem

Wieczorem również wyszłam. Tym razem we własnoręcznie uszytej maseczce. Do środka włożyłam nasączoną amolem chusteczkę higieniczną. Przy okazji trochę inhalacji sobie zrobię.

Ludzie tylko z psami. Naród grzeczny jak widać.

I nagle, na alejce przy drugim śmietniku spotkałam znajomych. Szli oczywiście z pieskiem. Cofnęłam się do pojemnika z napisem „plastik”. Zobaczyli mnie w tej maseczce i roześmiali się.

„Co ty tak ludzi unikasz?”

„Bo epidemia i mam cykora”.

„Daj spokój, to wirtualna epidemia. Chińskie firmy farmaceutyczne ją nakręcają. Nie ma się czego bać”.

Zakręciło mi się w głowie.

Kręci mi się do dziś, kiedy przypomnę sobie słowa rozbawionych epidemią ludzi....

Cóż. Można i tak....

XVI

28 marca 2020 – Cyferki dzień przed burzą

film na dziś „Czas Apokalipsy”

Tak, wiem, dziś w nocy wyszła specustawa o wyborach. Tak, wiem, nie przewidziałam tego. Tak, wiem, powinnam się do tego ustosunkować.

A gów... !

Wszystko to jest gów... i nie będę o tym pisać!

Mój blog nie będzie śmierdział!

Przejdźmy do wczorajszego dnia. To był rzeczywiście taki spokojny dzień przed burzą. Koleżanka poszła na działkę i zadzwoniła do mnie stamtąd.

„Jaki wirus? Jaka korona? Przyroda budzi się do życia. Jakiś ptaszek z pięknym dzióbkiem chodzi za mną. Pączki na drzewkach robią się zielone. Świeci cudowne słońce. Jest pięknie. Jest cudownie!”

Rzeczywiście, przyroda ma za nic małego, wrednego hitlerka i robi to, co do niej w marcu należy – budzi się do życia. Pod moim blokiem nieśmiało odzywa się bez. Krzew parkowej porzeczeki (tak nazwał go sąsiad) też zaczyna się zielenić. O trawie nie wspomnę, bo ona cały czas jest zielona.... Nie zdążyła odpocząć, bo zima

była jaka była. Natomiast totalnie zwariowały moje doniczkowe „grudniki”. Kwitnie kolejny.

Z powodu byle jakiej lub praktycznie bez zimy moja sunia Kulka traci niewiele sierści. W poprzednich latach musiałam ją wyczesywać na dworze, a mieszkanie odkurzać nawet dwa razy dziennie.

Słowem, jak wyeliminujesz wiadomości o zarazie, świat jest normalny. Ktoś w ramach czarnego humoru napisał, że na tej planecie wirus eliminuje tylko człowieka. Reszty nie rusza. Reszta jest odporna.

Ktoś również napisał, że osoby posiadające domowe zwierzęta są bardziej odporne na różne wirusy, bakterie i tego typu zarazki. Zobaczymy, zobaczymy....

A teraz temat przewodni rozmyślań w spokojny dzień.

Czy wierzycie w cyferki podawane codziennie? Cyferki o ilości chorych i zmarłych? Ja – nie. Czasy mamy jak za PRL-u, czyli dane też takowe. Wtedy w pewnym momencie byliśmy jedną z gospodarczych potęg świata. Wiem, pamiętam, bo uwierzyłam.

Teraz nie wierzę.

Ale....

Zawsze jest jakieś ale....

W latach sześćdziesiątych USA prowadziło wojnę w Wietnamie. Ówczesna telewizja pokazywała z namaszczaniem, jak amerykańscy chłopcy giną za amerykański styl życia w azjatyckiej dżungli. Miało to pokazać bohaterstwo walczących i podnieść naród na duchu, który z kolei miał popierać słuszne działania rządzących. Efekt był zupełnie inny. Przez Stany Zjednoczone przetoczyła się fala protestów. Antywojenne demonstracje były tłumione przez władzę, ale nie ustawały.

W 1990 roku, kiedy rozpoczęła się operacja „Pustynna Burza” - wyzwolenie zajętego przez Irak Kuwejtu – o działaniach militarnych było cicho. Wiadomo było, że są, ale jakie i kto w nich uczestniczy – nic. O kolejnych latach wojny w tej części świata do dziś niewiele wiemy.

W ubiegłym roku pokazałam gimnazjalistom film „Przerwana misja” Petra Aleksowskiego o Polakach walczących w Afganistanie, którzy zostali kalekami. Najpierw zapytałam uczniów, co wiedzą o polskim kontyngencie wojskowym w tamtej części naszej planety. Coś tam słyszeli, ktoś oglądał film „Karbala”....

Rok temu chyba po raz pierwszy widziałam na lekcji młodzież oglądającą film dokumentalny z tak dużym zainteresowaniem....

Dobrze czy źle, że nie wiedzieli o rodakach tracących życie i zdrowie w dalekich krainach?

Dobrze czy źle, że być może nie znamy dziś prawdziwych danych o wirusie?

Przyjmując, że obecnie podawane są sfałszowane, co zmieniałaby liczba prawdziwa?

Wczoraj przez telefon moja córka ryknęła mi, że nie chce rozmawiać o wirusie. Ma go na co dzień. Ma go pod ręką.

XVII

29 marca 2020 – Wiadro czasu

film na dziś „Lecą żurawie”

Wczorajszy dzień minął oczywiście pod znakiem komentarzy na temat wyborów prezydenckich i możliwości głosowania tzw. korespondencyjnego, zwłaszcza dla osób 60+. W sumie to nie rozumiem, co ustawodawca miał na myśli mówiąc „korespondencja”. Dla babci Zosi z Pipidówki Malej zapewne będzie to oznaczało wyjście na pocztę i wysłanie listu. Dla babci Madzi – tworzenie profilu zaufanego, co dla takiej jak ja, jest czarną magią.

Dobra, zostawmy to, do 10 maja wiadro czasu, wszystko się może zdarzyć. Wczoraj ludziska odetchnęli trochę od wirusa i zajęli się czymś innym. No wiem, że hitlerek był w tle, ale zawsze tylko w tle....

Tymczasem u mnie niewiele się wydarzyło. Jak zwykle zresztą. Do południa przed sklepami ustawiały się przepisowe kolejki, co dwa metry klient. Wiadomo, sobota była, zakupy czas zrobić. Moje przywiózł syn. Odbiliśmy krótką konferencję przed blokiem. Po wymianie zdań: „Co u was?” - „Wszystko w porządku” - „Jak mój wnuk?” - „Rozrabia”, przeszliśmy do teorii spiskowych. Skąd mały wredny hitlerek, po co mały wredny i dlaczego mały.

Z której strony by nie patrzeć, du.... zawsze z tyłu. Co oznacza, że w tle zawsze Chińczycy.

Oczywiście, żeby zawładnąć światem, mogliby tak jakąś atomówkę na takie USA wysłać.... Ale, jeśli ją nawet mają, to na pewno jest to podróbka albo amerykańskiej, albo rosyjskiej. A jeśli podróbka, to zarówno Amerykanie jak i Rosjanie mają już metody, by taką bombę unieszkodliwić. Na takiego wirusika nie mają. A ci zza Wielkiego Muru – mają! Czy to nie dziwne, że w takich Włoszech (60 mln mieszkańców) zmarło więcej osób niż w takich Chinach (1,4 miliarda)?

Druga spiskowa opcja to zmowa wielkich korporacji. Wiadomo, że nastąpi wielki krach gospodarczy. Zbankrutują małe firmy. Wielkie wyjdą w najgorszym wypadku na zero. I kto będzie dyktował ceny i kręcił światem? Złoty pieniądz.

Ale wiadro czasu jeszcze do tego....

W każdym razie u mojej rodziny wszystko w porządku. Dziś wybierają się na działkę. A ja oczywiście na balkon.

A dzisiejszy temat do rozmyślań... Chyba bardzo oczywisty. Jesteśmy w stanie wojny, o czym zresztą już pisałam. Mówię tak do uwięzionej w domu koleżanki, a ona na to, że nie, nieprawda. Wtedy to takim prostym ludziom, w nic nie zaangażowanym nic się nie działo. Dziewczyna pomyliła stan wojenny z 1981 roku z wojną. Taką na przykład II wojną światową.

Analogie nasuwają się od razu.

Mały, wredny hitlerok ogarnął cały świat. Zawładnął nawet Amerykę, czego się nawet temu przez wielkie H nie udało. Jest zatem lepszy. Pozamykano szkoły, kina, sklepy o charakterze przemysłowym. Na czas działań wojennych oczywiście. Na czas bombardowania. Strzelania. Ten czas trwa. Przygotowano połowe szpitale i tzw. szpitale jednoimienne, by przyjmować w nich tylko poranionych w walce. Służba zdrowia pracuje ponad siły na pierwszej linii frontu. Ludzie siedzą w domach i nawet ogłoszenie tzw. godziny policyjnej nie jest potrzebne. Politycy zbierają się, coś tam ustalają, by naród wiedział, że pracują. W 1939 taki rząd to zwiął. Do Rumunii. Teraz nie ma dokąd zwiać. Bo wirusek apolityczny i dorwie w każdym zakątku świata.

Tylko ludzie się nie modlą.... Kościoły opustoszały, na podwórkach brak kapliczek, przy których w czasie okupacji hitlerowskiej zbierali się wierni i śpiewali nabożne pieśni....

W ogóle jakoś kościół zniknął nam z pola widzenia....

Nikt go nie pochwała....

Nikt go nie krytykuje....

Obawiam się, że wiadro czasu minie, zanim odzyska swoją dawną pozycję....

Z kronikarskiego obowiązku odnotuję, iż papierowych reklam już nikt mi do skrzynki nie wpycha.

Nic wesołego.

Ludzie roznoszący ulotki stracili pracę....

XVIII

30 marca 2020 – Kwarantanna na niby?

film na dziś „Skazani na Shawshank”

Zacznijmy od tego, że przestawianie zegarów to totalna głupota. Jeszcze przez tydzień, a może i więcej, będę wstawiała normalnie, czyli o 8.30 (9.30) i chodziła spać też normalnie o 23.00 (24.00). Nie tylko ja. Mój pies też będzie funkcjonował według tzw. starego czasu. Ponoć na szczęście ma to się niedługo zmienić i niczego nie będziemy przestawiać. Proszę o jak najszybszą zmianę, bo w moim wieku każda zmiana jest poważna.

Do tego wczorajszy dzień był pierwszym ze zmianą pogody, co już w moim wieku jest równie kłopotliwe jak zmiana czasu. Zrobiło się zimniej. Z jeden strony dobrze, bo przestałam kichać i pod wieczór przemówiłam ludzkim głosem. Wiosenne alergeny atakują mi nos i krtań.

Wieczorem coś zaczęło z nieba padać. Nawet trochę biało się zrobiło. Normalnie przy takiej pogodzie wyszłabym z psem tylko przed blok. Ale przecież normalnie nie jest.

Ubrałam się na zimowo i wyszliśmy na spacer.

Pogoda nie była ciekawa. Wiał dość mocny wiatr. Padał deszcz ze śniegiem. Opad z nieba nie mógł tak do końca zdecydować się, czy padać, czy nie. Machnęłam ręką. Codzienna porcja spaceru być musi. I tak sobie szłam z Kulką. Ostre igiełki zamrożonego deszczu uderzały w nieosłoniętą część twarzy, a ja oddychałam pełną piersią. Czyli głęboko i obficie. Chwilami płucami, chwilami przeponą. Jaka radocha!

Niewiele człowiekowi do szczęścia potrzeba... Zwłaszcza takiemu, co zgodnie z zaleceniami siedzi w domu. Bo dziś będzie o tym siedzeniu.

Właśnie wczoraj zadzwonił do mnie kumpel z pytaniem: „Co u ciebie?”. U mnie rzecz jasna nic. U niego zaś radość rodzinna. Z Wielkiej Brytanii, konkretnie ze Szkocji, przyjechał syn. Uznał, że w czasach zarazy lepsze M3 u starych niż cały dom z kumplami. Jak umierać, to na ojczystej ziemi.

„Znaczy się, macie w domu kwarantannę...” - rzekłam zatroskana. Biedny kumpel, siedzi z rodziną - 2+2 na powierzchni 48 metrów, kwadratowych rzecz jasna, podczas gdy ja mam taką powierzchnię tylko dla siebie. I suni.

„E, tam, jaka kwarantanna...” - przez telefon ujrzałam jego uśmiech.

Więc sprawa jest taka.

Syn oczywiście ma zakaz poruszania się po korytarzu, piwnicy i mieście. Jego rodzina zaś jest pod nadzorem epidemiologicznym. Tak się to oficjalnie nazywa. Bo tak właściwie teraz to już nie wiem, co to i po co jest.

Kumpel z żoną codziennie, normalnie na własnych nogach chodzą do pracy. Dziecko, które z nimi mieszka też, bo już skończyło 25 lat i jakoś z domu od starych nie chce się wynieść. Niby wszyscy pracują w biurach, w których nie przyjmuje się interesantów. Są jednak inni pracownicy. I teraz wyobraźmy sobie, że synek jednak ze Szkocji małego, wrednego hitlerka przywiózł. Nie ma siły. Przeniesie go na trójkę mieszkająca razem z nim. Ta trójka przeniesie go do swoich biur, bądźmy optymistami – każdy na, tylko, dwie osoby. Te dwie – liczymy dalej optymistycznie – każda na kolejne dwie....

Stop. Dalej liczyć nie będę. Jestem od literatury i koszykówki, nie od matematyki.

Oczywiście podzieliłam radość kumpla z powodu powrotu synka. Uśmiełam się też w imię solidarności z powodu codziennych wizyt policji pod blokiem kumpla. Zaraz potem o mało nie trafił mnie szlag.

To ja siedzę od blisko dwóch tygodni w domu.

Unikam ludzi.

Z rodzonym synem rozmawiam na podwórku raz w tygodniu.

Na spacer z psem wychodzę wieczorem, by nie stwarzać zagrożenia epidemiologicznego.

Oglądałam telewizję, w której na okrągło słyszę „Zostań w domu”.

W tym samym telewizorze mówiono jeszcze niedawno, iż przygotowane są miejsca, w których powracający z zagranicy będą musieli spędzić dwa tygodnie kwarantanny.

Nawet maseczkę sobie uszyłam.

A tu proszę.... jeden siedzi, reszta chodzi.

Niczego już nie kumam...

XIX

31 marca 2020 – Łatwo, lekko i przyjemnie

film i książka na dziś „Szatan z siódmej klasy”

Mam nadzieję, że dziś będzie pozytywnie. A trudno o to, gdy świat tkwi w szponach małego wrednego hitlerka i właściwie stoi w miejscu. Politycy nieudolnie coś tam próbują robić, żeby naród nie powiedział, że są do niczego niepotrzebni. Znany nam kościół i wszelkie inne wyznania – milczą. Dobrze, w porządku ktoś tam zrobił zrzutkę na respirator, nawet dwa.

Skontaktowałam się też z wyznawcą innej religii, czy może oni jakąś zrzutę robią. Nie, oni się modlą. Wirtualnie. Ktoś tam wykupił, ktoś tam zainstalował specjalne oprogramowanie i teraz widząc siebie wzajemnie – modlą się razem. Pytam znajomego, jaki to program i ile kosztuje. Nie wie. Ktoś im to sfinansował. Taka ich nadrzędna władza.

Marzeniem jest, żeby nauczyciele mieli taką nadrzędną władzę. I uczniowie zresztą też. Siada sobie taki nauczyciel przed kompem i widzi swoich uczniów w liczbie takiej na przykład 25. Oni też go widzą i sobie taka lekcja leci, jak kabarecik. Lekko, łatwo i przyjemnie. Poniosło mnie, wiem, ale bardzo pozytywnie poniosło i uniosło ponad obłoki.

Póki co takie nauczanie w przeciętnej polskiej szkole mieści się w pojęciu science fiction. Marząc o zdalnym nauczaniu w stylu zdalnej modlitwy pewnej religii, zadzwoniłam do koleżanki, nauczycielki sześciolatków czyli tzw. „zerówki”, pracującej w przeciętnej wiejskiej szkole.

„I jak sobie radzisz? Jak zdalnie pracujesz z maluchami?” - zapytałam z uśmiechem od ucha do ucha spodziewając się fali narzekania i złorzeczeń. O przekleństwach już nie wspomnę.

Tymczasem koleżanka całkiem spokojnie odpowiedziała, że sobie radzi i to spokojnie.

Skąd ten spokój?

Otóż koleżanka założyła na czas zdalnego nauczania specjalnego maila. Wysłała go do rodziców na ich maile. Poinformowała, że tą właśnie drogą będzie

wysyłała zadania dla dzieci. I wysyła. Każdego dnia. Pisze, co dziecko powinno zrobić w związku z tzw. nauczaniem szkolnym (literki i cyferki), co powinno narysować, proponuje zabawy edukacyjne wykorzystując te zamieszczone w sieci, jakiej piosenki może się nauczyć....

I koniec. I finito.

Czy maluch to wykona? Tego oczywiście nie jest pewna. To już w przypadku „zerówki” wszystko w rękach rodziców.

I proszę, efekty są. Otrzymuje zdjęcia prac plastycznych i filmiki przedstawiające zabawy.

Nie, nie wymaga, by rodzic z dzieckiem usiadł przy kompie o określonej godzinie. Wiadomości odbierze, kiedy będzie chciał. Zadania wykona też w dowolnym terminie.

Tak, rodzice mają swoje wirtualne adresy od wielu lat. Nauczycielka nie pamięta już czasów, kiedy ich nie mieli.

„Przecież to pokolenie na komputerach wychowane!” - uświadamia mi w czasie rozmowy.

Racja, obecnie trzydziesto -, a nawet czterdziestolatkiem od czasów dzieciństwa lub młodości kontakt z kompem mieli.

„To znaczy, że wszyscy w domach posiadają komputery?” - drażę dalej temat.

Koleżanka roześmiała się tak głośno, że mój telefon się poruszył też ze śmiechu.

„Jeśli ktoś nie posiada, niech dzwoni do szkoły. Szkoła wypożyczy. A zresztą, czy widziałas w internecie apele o wypożyczenie komputera dla ucznia, który go nie posiada?”.

No, jeden, albo dwa, a może to była prośba o wypożyczenie dla rodziny, w której jest dużo dzieci? Nie da się ukryć, wiadomy portal nie jest zarzucony prośbami o sprzęt.

„Gorzej, jak dostęp do sieci jest słaby....”.

I tu wreszcie koleżanka zgodziła się ze mną. Ustaliłyśmy jednak, że jest to sławetne „coś za coś”. Dostępu do sieci nie ma w głuchej głuszy. Na takiej mojej działce na przykład. W zamian za internet mamy czyste powietrze i mniej ludzi wokół. Mniejsze ryzyko zarażenia.

W sumie więc nauczycielka „zerówki” pracuje po tzw. najmniejszej linii oporu. Wszyscy są zadowoleni.

A gdyby tak tacy nauczyciele polskiego i takiej historii pracowali tak samo? Maile do uczniów ze wskazówkami, zadaniami, linkami zamiast zwoływania ich codziennie od do... przed monitor? A czy uczeń zadania wykona, czy zechce się uczyć... to już jego sprawa.... Powtarzam to od zawsze.

XX

1 kwietnia 2020 - Ekologicznie

film na dziś „Wodny świat”

Rety, to już trzy tygodnie odkąd siedzimy na tylnej części ciała w domach i patrzymy, jak wali się świat, który do tej pory znaliśmy!

Oj, bo się wali. Niby te bloki jeszcze stoją, niby te sklepy jeszcze pracują, ale taki zakład fryzjerski już nie pracuje, taki gabinet kosmetyczny, który widzę z balkonu – nie pracuje. Taki sklep z częściami do aut, otwarty parę dni przez godziną zero, też nie pracuje.... Pizzeria co prawa otwarta od 10 do 22, można na wynos, można z dowozem, ale tłumów przed nią nie widzę.

Otwarty jest punkt „Lotto”. Ale czy warto grać? W przypadku małej wygranej, trzeba odebrać osobiście gotówkę. Wiadomo, wirusy na forsie. W przypadku wygrania milionów – trzeba jechać, osobiście dostarczyć kupon i dać zlecenie przelewu. A ile niespodzianek, (w postaci innego człowieka) może człowieka czekać na takiej S8 w stronę Białegostoku lub Warszawy? Nie, zdecydowanie nie gram.

Wczorajsze tzw. obostrzenia (uczniowie zapamiętajcie ten wyraz, podczas najbliższego egzaminu na pewno wystąpi!) nie dotknęły mnie w najmniejszym stopniu. Co prawda roześmiałam się z odległości dwóch metrów między najbliższymi członkami rodziny na spacerze, ale potem stwierdziłam, że to sens jakiś jednak ma.

Zawsze idąc z sąsiadem na spacer można patrolowi milicyjno – wojskowemu (takowe mają być) powiedzieć, że to kuzyn, bardzo bliski. I co patrolujący zrobią? Drzewo genealogiczne będą sprawdzać? Aha, inne nazwisko.... Nic z tego. Kuzyn nie po mieczu, a po kądzieli.

A propo patroli.... czekam, aż się pojawią. Paru moich uczniów poszło do policji. Może się na nich natknę? Do tej pory widziałam ich tylko w autach objeżdżających ulice mego osiedla.

O czym to dziś miałam pisać, skoro wczoraj nic się nie wydarzyło? Aha, o ekologii...

Nie wiem jak wy, ale ja produkuję zdecydowanie mniej śmieci. Mniej kupuję, mniej wyrzucam. Nie, nie chodzi o żarcie. Chodzi o opakowania.

Syn raz w tygodniu przywozi mi zakupy według listy przeze mnie sporządzonej. Zamiast sześciu małych paczek ciastek (do kawy oczywiście), dwie duże. Zamiast kilograma ziemniaków co dwa dni, kilka raz na tydzień. W jednym opakowaniu. Zamiast 2x0,5 litra, raz jeden litr... a co, nie można? Hi hi ha ha!

Tak więc woreczków foliowych mniej. Reklam w skrzynce na listy brak. Makulatury mniej. Częściej niż zwykle wykorzystuje do picia „kranówkę”, oczywiście po przegotowaniu. Mimo iż władze miasta, zarówno Wałbrzycha jak i Łomży, mówią, że taka bezpośrednia z kranu jest OK, to mój organizm ją zdecydowanie odrzuca. W toalecie.

Pustych butelek po wodzie produkuję zatem zdecydowanie mniej.

Nie chodzę do swoich ulubionych szmateksów. Nie kupuję „nowych” ciuchów. W wyniku owych zakupów zawsze wymieniałam garderobę. Stare wyrzucałam. Dziś

nie wyrzucam. Jak dłużej ta kwarantanna potrwa, to pewnie będę cerować. (Hi hi, młode pokolenie wie, co oznacza słowo „cerować”?) Przeszywać nie będę, bo jak już wiecie, mam popsutą maszynę do szycia.

No niestety, prądu nie oszczędzam. Jak nie laptop, to telewizja lub gramofon jest na chodzie, światło też czasami włączę.... mam co prawda kilka balkonowych świetlików na baterie słoneczne, ale one nie oświetlą mi pokoju. Jeden duży przez cały dzień zbiera światło na balkonie, a nocą służy za takie nocne oświetlenie, żeby człek do toalety trafił.. Chyba w tym roku muszę zainwestować w większą ilość lampek na baterie słoneczne....

Sąsiedzi też żyją ekologicznie. Mało jeżdżą samochodami. Praktycznie przez cały dzień parking przed moim oknem jest zajęty. Przed kwarantanną do 14.00 bywał całkiem pusty.

Aha, pytacie jak wygląda śmietnik na moim podwórku.... no, niestety.... sąsiedzi się remontują. Oczywiście, że część wywozi swe odpady, ale część.... tradycyjnie zostawia. I jest bajzel. Na szczęście dozorca codziennie rano próbuje to ogarnąć. A śmieciarki regularnie wywożą. Z tej strony epidemia nam nie grozi.

Koniec na dziś. Trzymajcie się.

XXI

2 kwietnia 2020 – Wiosna seniorze

film na dziś „Wiosna, panie sierżancie”

Wczoraj mój wnuk skończył pierwszy rok życia. Tak, rok temu wywinął nam numer i urodził się w święto dowcipu i dobrego humoru. Wiadomość o tym, że zostałam babcią, część moich znajomych potraktowała jako żart. Oczywiście młody miał swój tort i swoją świeczkę. Imprezy nie było. I chyba dobrze. Babciom i ciociom trochę żal, ale za to młoda rodzina miała swoją, bardzo intymną uroczystość. Rodzice mogli sobie w spokoju i ciszy powspominać, zrobić foto, pomarzyć o super ekstra przyszłości dla swego maleństwa....

W sumie to nie wiem jak było, ale mam nadzieję, że dobrze. Cóż począć, że pierwsze urodziny wypadły w czas epidemii.... Jest w tym jednak pewna nadzieja. Ponoć każde pokolenie musi przeżyć jakąś wojnę. Wojna z małym, wrednym hitlerkiem trwa w najlepsze. Wpiszmy zatem ją w życiorysy dzisiejszych kilkulatków. Niech więcej żadnych wojen w życiu nie mają.

Wczoraj przez internet przetoczyła się burza w związku z nauczaniem przez TVP sport, kultura i rozrywka. Nie będę się teraz o tym rozpisywała. Powiem jedno – sporty ekstremalne, kultura średniowiecza i rozrywka jarmarczna. Temat rzeka, która nadal płynie w w/w telewizji.

Dziś rozważania o seniorach.

Już na początku akcji „epidemia” napisała, że dawno nie słyszałam tylu słów o

ludziach 60+. Słów pozytywnych. Obecnie potwierdzam.

Na portalach lokalne informacje, gdzie się zwrócić o pomoc. Na drzwiach wejściowych – to samo. W Łomży młodzi ludzie rozdają ulotki z numerami telefonów. Tu zadzwoń, jak będzie ci potrzebna pomoc. Na wszelki wypadek zapisałam na kartce i położyłam obok laptopa.

Teraz proszę, wyznaczono godziny, w których tylko emeryci są obsługiwani w sklepach. Czy będą przestrzegane? Cóż, od ludzi to zależy.... Sprzedawca nie wygoni małolata ze sklepu, jeśli już przyjdzie....

Zerkałam wczoraj przez balkon na sklepy w mojej okolicy. Otwarte są cztery. W oznaczonych godzinach seniorów praktycznie nie było.

Bo w ogóle w mojej okolicy seniorów nie ma. Znaczą się są. Dużo. Najmocniej widać to w czas letni i pogodny na plenerowych siłowniach. Oblegają je namiętnie. W czasie wakacyjnym bawią się z wnukami na placach zabaw. Spacerują z psami, z kijkami – oczywiście. Słowem – seniorów multum.

A teraz ich nie widać.

Grzecznie cierpią w zaciszu swych M....

Bo przez ostatnie lata nauczyli się cieszyć życiem. To dla nich pobudowano owe siłownie. To im kazano ćwiczyć, tłumacząc, że sport to zdrowie, a człowiek stworzony jest do chodzenia w pozycji pionowej. To im przez lata wmawiano, że należy spacerować, wychodzić z domu, uczestniczyć w różnych formach aktywności kulturalnej, bywać na koncertach, festynach. To dla nich w wielu placówkach kultury organizowano prelekcje, spotkania z ciekawymi ludźmi, wspólne wyjścia do kina, do teatru....

I seniorzy posłuchali. Chodzą już nie tylko do kościoła. Według praw natury właśnie teraz, wiosną, powinni rozpocząć swą aktywność.

Cóż, nie dziwny się zatem, jak jakiś niepokorny senior teraz wyjdzie z domu do apteki po witaminę C.... Trzeba się do niego uśmiechnąć i ciepłym głosem powiedzieć: „Proszę zostać w domu”...

No chyba, że senior ma psa i wykorzystuje go do odbywania codziennych spacerów.

Na moim osiedlu jest spora grupa psiarzy w wiadomym wieku. Teraz jakoś ich nie widać. Każdego wieczora spotykam jedynie pana w wieku mi odpowiednim z równie nerwową jak moja – sunią. Nie możemy pogadać, bo psia kłótnia zagłusza każde słowo. Ale spotykając się codziennie, przynajmniej wiemy, że żyjemy.

Wczoraj, kiedy już suczki wymieniły swoje kontrowersyjne poglądy, skręciłam w alejkę prowadzącą do domu. W świetle księżycy połączonym z oświetleniem parkowym alejki ujrzałam młodych ludzi. Takich w wieku licealnym. Prowadzili na smyczy takiego dwukilogramowego pieska. Szli wolno, objęci. W pewnym momencie stanęli i zaczęli się delikatnie całować....

Cofnęłam się. Nie chciałam przeszkadzać.

Wiosenna miłość nie uznaje wirusa....

XXII

3 kwietnia 2020 – Nie nasz świat

film na dziś „Pokot”

Miałam dzień kryzysowy. Pojawił się po raz trzeci od czasu ogłoszenia narodowej kwarantanny. W sumie źle nie jest.

Wczoraj jednak ostro powiało u mnie pesymizmem, skoro z uporem maniaka szukałam na wszystkich kanałach telewizyjnych czegoś optymistycznego. Znalazłam „Mój nowy dom”, program, w którym sponsorzy remontują mieszkania ludziom tego potrzebującym. Wszystko oczywiście pod okiem kamery, by potem pochwalić się na szklanym ekranie. I dobrze, niech się chwala jak czynią dobrze. Nawet w formie reklamy.

W związku z oglądaniem na wieczorny spacer z psem wyszłam po dwudziestej pierwszej. Na osiedlowych terenach rekreacyjnych nie było nikogo. W ciągu czterdziestu minut dostrzegłam jednego człowieka idącego szybkim krokiem w stronę bloków. Drugi po osłonę nocy uprawiał jogging na stadionie przy szkole. I jeża widziałam. Szedł po trawniku.

Cisza. Dzwoniąca w uszach cisza.

Miałam czas na przemyślenia, rozmyślenia, medytację.

Wczoraj dotarł do mnie tekst Olgi Tokarczuk o aktualnej sytuacji. Niektórzy uznali go za smutny, niektórzy za realistyczny, inni za oburzający. Słowem, co człowiek to opinia. I bardzo dobrze. I tak ma być.

Co do mnie to....

Chyba też, jak noblistka i jedna z moich koleżanek, nie mam „traumy odosobnienia”. Oczywiście, że żal zamkniętych pubów, kin i teatrów. Oczywiście, że tęsknimy za rodziną i znajomymi, z którymi ze względów bezpieczeństwa nie możemy się spotkać. Oczywiście, że miewamy „czarne godziny”. Ale nie będziemy z tego powodu popełniać samobójstwa. Tym bardziej, że życie wokół się toczy.

Moi sąsiedzi nadal przeprowadzają remont. Sklepy spożywcze nadal pracują i nie brakuje w nich żywności.auta jeżdżą. Śmieciarki wywożą śmieci, a dozorca sprząta trawniki. Pąki na drzewach i krzewach są coraz większe. A moja sunia traci zimową sierść.

„Życie toczy się, a jakże, ale w zupełnie innym rytmie” - pisze Tokarczuk i wspomina o latach minionych, kiedy można było bezkarnie „marnować” czas, zajmując się pozornie niepotrzebnymi sprawami.

W obecnym świecie czasu marnować nie wolno. Świat i czas będą tak szybko, jak mieszkańcy Warszawy.

Kiedyś przyjechałam do stolicy i wyszła po mnie koleżanka. Auto zaparkowała po drugiej stronie dworca. Musiałyśmy przejść spory kawałek. W pewnym momencie chwyciła mnie zadyszka.

„Dokąd tak biegniesz? - spytałam.

„Ja nie biegnę, ja idę”.

Dziś część z nas dostała szansę, by zwolnić tempo i rozejrzeć się wokół. Ustalić na nowo swoje priorytety. Może śpieszyć się warto tylko w ramach rekreacyjnego biegania po osiedlu?

Co jeszcze uświadamia nam obecność wirusa?

Olga mówi o słabości Unii Europejskiej, która „oddała mecz walkowerem”, o przywróceniu granic, podziale na „swoich” i „obcych”. Parę lat temu, kiedy Wielka Brytania po raz pierwszy powiedziała, że chce wypisać się z UE, napisałam tekst o próbach zjednoczenia Europy... nieudanych próbach...

Dziś niepotrzebne były wojska, broń, czołgi, politycy, by podzielić cały kontynent na stare części, ustanowione w Jalcie i Poczdamie w czasie i po II wojnie światowej. Każde państwo zostało z wirusem sam na sam.

Noblistka nie kreśli wizji świata dnia jutrzejszego. Ja też tego nie uczynię. Na jednej z lekcji zapytałam kiedyś uczniów, czy znają książkę lub film pokazujący pozytywną wizję przyszłości Ziemi po katastrofie.

Nikt nie znał. Ja też nie.

„Na naszych oczach rozwiewa się jak dym paradygmat cywilizacyjny, który nas kształtował przez ostatnie dwieście lat: że jesteśmy panami stworzenia. możemy wszystko i świat należy do nas” - Olga Tokarczuk

XXIII

4 kwietnia 2020 – Zaświeciło słończko

film na dziś „Seksmisja”

Wczoraj jedna z znajomych na wiadomym portalu napisała, że już jej się nie chce uczestniczyć w narodowym jęczeniu. Przesłała pozdrowienia i zniknęła. I tak mi przemknęło przez myśl, że chyba ma rację.

Obecnie wszyscy jęczymy.
Nad wiadomym małym, wrednym hitlerkiem jęczymy, bo zabija ludzi i gospodarkę.
Nad wspomnieniami z dzieciństwa też jęczymy, bo minęło.
Mój znajmy jęczy, bo ktoś mu w bok auta wjechał i trzeba bok klepać.
Ktoś jęczy, bo mu bibliotekę zamknęli.
Nad wyborami jęczymy. „Wuc” wyborów chce. Ludzie z internetu nie.
Wszyscy jęczą.

Jedynie lasy nie jęczą, bo wprowadzono zakaz poruszania się po nich istotom na dwóch nogach. Mówię wam, to robota „zielonych”!

Na pewno nie jęczy Michał Sołtan. Konsekwentnie o 17.00 wychodzi w Warszawie na swój balkon. Gra i śpiewa. I chwala mu za to.

Nie jęczał też pewien pan, który w swym wykładzie próbował przekonać mnie, że wirus nakręcony jest medialnie. Może bym i uwierzyła, gdyby nie rzekł, że sepsę leczy się wlewami z witaminy C. Po takim twierdzeniu uznałam, że jego, przydługie wystąpienie, jest po prostu kolejną teorią spiskową. O tym, jak to z wirusem było, dowiemy się po latach....

Zaczęłam szukać pozytywnych zjawisk wokół siebie.

Są, rety, są!

Na początku narodowej kwarantanny ugotowałam gar zupy fasolowej. Dwie fasolki uratowałam. „Posadziłam” je na gazie na słoiku z wodą. Takie przypomnienie z lat szkolnych. Moje pokolenie miało fasolkę w na gazie posadzić i każdego dnia opisywał zachodzące w niej zmiany. Taka praca domowa. Dziś, jak za starych czasów, fasolka pięknie rośnie.

Słońca coraz więcej i moje „światliki” na baterie słoneczne wyłapują go też coraz więcej. Dłużej świecą.

Kwiatek doniczkowy zwany „grudnikiem” nadal stoi na stole i kwitnie. Do Wielkanocy dotrzyma. Jakiej Wielkanocy? Przecież przeniesiona na wrzesień! Hi hi ha ha! Od razu człek wpada w dobry humor jak sobie uświadomi pewne bezsensowne wypowiedzi.

Wieczorem miałam do wyboru dwa filmy, albo klasyk z serii Marvela, albo klasyk polski. Wybrałam „Seksmisję”. Nie ma to jak na świętą noc usłyszeć, że Kopernik była kobietą. Jako była feministka uwielbiam również słowa „Kobieta mnie bije!”. No i oczywiście nieśmiertelne twierdzenie o wywiadach i wizytach w zakładach pracy połączone z okrzykiem „Nas!? Bohaterów!? Prądem?!”.
Oj, udał się Machulskiemu film, oj udał.

Prawdziwe słońce zaświeciło mi wczoraj w porze poobiedniej. Ktoś zadzwonił domofonem. Szok. Po prostu szok. Nikt mnie nie uprzedzał, że przyjdzie. Chciałam ryknąć „Czego!?”, myśląc, że to znajomi sąsiada z „ławeczki”, którzy często pod wpływem procentów wybierają zły przycisk.

Jednak wrodzona i nabyta kultura kazała mi rzecz normalnie, jak do telefonu: „Słucham”.

Po drugiej stronie rozległ się ciepły, młody głos:

„Roznosimy maseczki dla seniorów. Mamy jedną dla pani i chcemy ją wrzucić do skrzynki”.

O... przypomniałam sobie, że rzeczywiście... ktoś obiecał, iż osoby posiadające Miejską Kartę Seniora takowe od „miasta” dostaną...

Kiedy głos opuścił klatkę schodową, szybko pobiegłam do skrzynki na listy. Maseczka była. Wraz z informacją jak jej używać, jak prac, a właściwie wygotowywać. Dołączono również list do seniorów, z którego dowiedziałam się, że maseczki uszło Stowarzyszenie Motocyklistów Łomżyńskich Wild Dogs. Po drugiej stronie znajdowały się informacje co powinien senior robić w czasie kwarantanny, a co nie.

I było kolejna rzecz niesłychanie ważna – lista dostępnych poradni specjalistycznych, które funkcjonowały w łomżyńskim szpitalu. W momencie przemianowania go w szpital zakaźny przestały normalnie funkcjonować. My seniorzy dostaliśmy do ręki spis owych poradni w najbliższej okolicy. Parę łomżyńskich adresów też się tam znalazło.

Czy maseczka i lista specjalistów seniora uratuje? Nie wiem. Ale życie choć na moment stało się przyjemniejsze.

XXIV

5 kwietnia 2020 – 5G w 3D

film na dziś „Ja, robot”

Chyba zaczynam się już przyzwyczajać do tego tajnego stanu wyjątkowego. Poprzedni tydzień minął mi wyjątkowo szybko. Wczoraj była sobota. Syn ponownie przywiózł zakupy. Po raz pierwszy za oknem usłyszałam głos z megafonu nakazujący mi siedzenie w domu.

I słyszę ptaki! Ludzie! Na blokowisku słyszę świergot ptaków!

Prawie przez cały dzień! Taka cisza. Nie trzeba jechać do lasu. Tym bardziej, że teraz nie można...

Długo zastanawiałam się, skąd pomysł, żeby zakazać człowiekowi kontaktu z przyrodą. W sieci pojawiło się wiele domysłów.

Drzewa zarażają.

Zwierzęta mają wściekliznę.

Myśliwi muszą polować. Wzorem króla Jagiełły oczywiście. Ów ongiś, przed wojną

z Krzyżakami, zarządził wielkie polowanie i kazał solone mięso w beczkach przechowywać. Wszak źródłem tej informacji jest nikt inny jak nasz Henryk Sienkiewicz, pierwszy polski pisarz komercyjny.

Ok, przestaję, bo się rozpiszę na temat historii literatury, a nie o tym jest mój blog. Ten przynajmniej.

Podczas wieczornego spaceru, rozmyślań i medytacji doszłam do słusznego dla siebie wniosku. Otóż zakaz wstępu do lasu wymyślili politycy. A kiedy oni po raz ostatni las widzieli? Siedzą w swych gabinetach, limuzynach, sejmach. Debatują nad wyborami, jak je tu sknocić, albo zlikwidować w ogóle, że świata poza sobą nie widzą.

Oczywiście drzewa i krzewy czasami oglądają. W takiej telewizji na przykład. Lub idą do parku w Łazienkach, warszawskich oczywiście, i kilka drzew liściasto-iglastych biorą za las.

Rzeczywiście, w parkach oraz laskach drzewnianych przy wielkich aglomeracjach typu Warszawa, Wrocław ludziska nagminnie się spotykali. A gdzie mieli jechać, jak najbliższy, prawdziwy las hen, hen daleko, na takim Podlasiu na przykład.

Kiedyś byłam w niedzielę w Kampinowskim Parku Narodowym. Rety, rzeczywiście, ludzi jak mrówek. Wszyscy spacerują wytyczonymi ścieżkami. Człek ociera się o człeka. Miałam wrażenie, że zwała się tu cała stolica.

I zatem nic dziwnego, że politycy zamknęli owe pseudo lasy.

Prawdziwy las wygląda zupełnie inaczej. Mam go tuż przy swojej działce, do której dojeżdża się piaszczystą drogą. Nie ma w nim wytyczonych przez człowieka ścieżek. Trzeba się przedzierać między krzewami, młodymi drzewami i połamanymi z przyczyn naturalnych drzewami. Do prawdziwego lasu nie wejdiesz człowieku w klapkach i krótkich spodenkach. Do prawdziwego lasu nie wieszysz autem, bo drzewa ci nie pozwolą.

Ale oczywiście politycy o takim lesie zapomnieli....

I druga sprawa na dziś. W sieci coraz więcej teorii spiskowych. O tym, że wszystkie telewizje nas oszukują, wiemy nie od dziś. Od PRL-u wiemy. O tym, że najchętniej „kupujemy” wieści straszne i przerażające też wiemy nie od dziś. Moje felietony o pozytywnych zjawiskach mają znacznie mniejszą poczytność niż te, o rzeczach okropnych. Jeśli chodzi o teorie oparte na danych statystycznych, to każdy może wymyślić swoje.

Wczoraj natomiast pojawiło się kilka mówiących o tym, że za sprawą małego, wrednego hitlerka kryje się jakaś grubsza afera. I tu znowu nastąpiło wymienianie szeregu spraw. Mnie najbardziej zaciekała jedna.

5G.

Wprowadzenie 5G.

Co to do cholery jest 5G?

Wrzuciłam w wyszukiwarke.

„Standard przesyłania danych w sieci komórkowej o zwiększonych parametrach wydajnościowych”.

Czyli co?

Przepływność, przepustowość, latencja.....

Wszystko było tak mądre, że nie rozumiałam niczego.

Czyżby wprowadzenie sztucznej inteligencji? To chyba już wiemy jaki film dziś oglądać!

XXV

6 kwietnia 2020 – Mariola

film na dziś „Nietykalni”

Dziś nie będzie ani słowa o małym, wrednym hitlerku.... dziś dla mnie dzień szczególny.... smutny.... dzień refleksji nad przemijaniem, więzi człowieka z człowiekiem, nad sprawami, które w naszym życiu są najważniejsze....

Rok temu po ciężkiej chorobie zmarła moja koleżanka.... Część ludzi wokół mnie nie rozumiała, dlaczego płaczę, dlaczego jestem przygnębiona, dlaczego rzucam wszystko i jadę 600 km na pogrzeb osoby, która przecież rodziną nie była....

Właśnie, rodzina....

Przyjęło się w naszej kulturze, że najważniejsze są więzy krwi, że na rodzinę zawsze można liczyć, że liczy się głównie ona.

Piękne.

Tak być powinno.

Ale nie zawsze jest.

Nie, nie chodzi mi tu o rodziny patologiczne i o przemoc domową. Chodzi o zwykłe relacje między członkami rodziny. Zwłaszcza tymi nieco dalszymi. Często

ich po prostu nie ma. I brak wyraźnych powodów ku temu, by nawiązywać więź. Często po prostu.... nie nadajemy na tych samych falach. Nie wyłapujemy w eterze tej samej częstotliwości. Winy nie ma tu niczyjej. Posiadanie tych samych genów nie tworzy wspólnoty.

Tworzy ją coś nieuchwytnego, coś tkwiącego w naszej duszy i sercu. Nie w tym mięśniu, które można wymienić. W sercu opisywanym przez poetów.

Taką rodziną była dla mnie Mariola.... rodziną z wyboru.... siostrą z wyboru....

Poznałyśmy się w szkole podstawowej. Potem los rzucił mnie 600 km od rodzinnego miasta. Próbowалам utrzymywać kontakt z dawnymi znajomymi. Początkowo szło nieźle. Pisaliśmy do siebie listy. Ale potem okazało się, że to ja lubię pisać, inni mniej.... A Mariola pisała zawsze. Może nie co tydzień, może znacznie rzadziej, ale pisała....

Spotykałyśmy się najczęściej raz do roku. Nie, nie byliśmy typowymi psipsiółkami, co to godziny bez siebie przeżyć nie mogą. Dzieliło nas przecież 600 km.

A jednak udało się nam utrzymać znajomość przez 53 lata!

Przez te lata nazbierało się wiele wspólnych wspomnień. Kiedyś Mariola przyjechała do mnie ze swoim synem na urlop. Siedząc w oknie obserwowałyśmy nasze dzieci bawiące się w piaskownicy na podwórku. W pewnym momencie dzieciaki zaczęły się okładać łopatkami i sypać piaskiem.

„Interwenujemy?” - zapytałam.

„Nie. Krew się jeszcze nie leje” - odpowiedziała spokojnie.

„Też racja. Zaraz się uspokoją”.

I tak się stało.

Opowiadam to dziś młodym mamom jako przykład starego wychowania. Niektóre są oburzone.

Pamiętam wyjazdy z mego miasta. Mariola przyjeżdżała na dworzec Wałbrzych Główny. W dworcowej restauracji wypijałyśmy po kuflu ciemnego piwa. Żegnałyśmy się na peronie. Ja wsiadałam w pociąg relacji Szklarska Poręba - Warszawa Wschodnia, Mariola w autobus linii „3”.... Było ok. 22.00....

Mariola była chyba jedyną osobą w Wałbrzychu, która nie będąc na żadnym meczu koszykówki, znała wszystkich koszykarzy Górnika Wałbrzych, przebieg meczów i historię tej dyscypliny sportu w moim mieście. Opowiadałam, a ona - słuchała.

Kiedy wspólnie zorganizowałyśmy spotkanie klasowe 35 lat po ukończeniu podstawówki, nasi koledzy byli zdziwieni, że udało się nam utrzymać więź przez te lata, mimo dzielących nas kilometrów.

Po śmierci Marioli składali mi kondolencje. Wiedzieli, że odeszła osoba mi bardzo droga, z którą łączyła mnie więź większa niż wspólne geny.

O tym, kim byli dla nas konkretni ludzie, dowiadujemy się, kiedy odchodzą.

W tym roku odwiedziłam cmentarz. Położyłam kwiaty. Zapaliłam znicz. I płakałam. Tak samo jak rok temu.

Moja żałoba jeszcze trwa.

XXVI

7 kwietnia 2020 - Cuda i dziwy

film na dziś „Killer”

Kiedyś kursował taki dowcip:

„Dlaczego budynek sejmu jest okrągły?

A kto widział cyrk kwadratowy?”

Po wczorajszych hecach z głosowaniem posłów w sprawie wyborów prezydenckich, uważam, że ten dowcip uwłacza artystom cyrkowym.

Powiedzenie, że polska polityka zeszła na psy, ubliża psom.

Kto jest temu winien?

My.

Naród.

Tak wybraliśmy.

Tak mamy.

Jak widać.

Jak słyhać.

Jak czuć.

I tyle w tym temacie – jak mawiał jeden z bohaterów filmu „Pieniądze to nie wszystko”.

Wczorajszy dzień postanowiłam przeżyć z dala od wirusa. I właściwie wszystko się udało. Nie, nie, włączenie telewizora o określonej godzinie błędem nie było. Człowiek w końcu nie żyje na bezludnej wyspie.

Wczoraj w sieci pojawił się mem z Rumcajsem, takim rozbójnikiem z czeskiej „Dobranocki”, gdyby ktoś nie wiedział. Rumcajs zapytany o ostatnie wydarzenia,

odpowiada, że o niczym nie wie, bo cały czas siedział w lesie.

Zaczęłam się właśnie zastanawiać, czy nie uciec od tego wszystkiego na swoją działkę. Prąd jest. Woda jest. Żarcie ktoś przez siatkę przerzuci. Robi się coraz cieplej. Fakt, internetu złapać nie można.... ale wytrzymacie chyba beze mnie...

Tak więc wczoraj wyszłam dwa razy z psem na dłużej niż pół godziny. Mam gdzieś zakazy i nakazy. Terenu rekreacyjnego zwanego skate parkiem nikt taśmą mi nie zamknął. Place zabaw też nie zostały zaplombowane. Pospacerowałam dłużej niż zwykle. Spotkałam znajomą. Kobieta po przejściach ekologicznych chodziła wokół swego bloku. Okrążyła go raz, drugi, trzeci. Niczym na spacerniku w więzieniu. W jej przypadku ruch jest formą terapii. Fizycznej i psychicznej też.

Obejrzałam trzy polskie komedie. Takie prawdziwe, nie te romantyczne. Znaczy się obejrzałam stare polskie komedie.

Przeczytałam kryminał. Też stary. Podczas czytania rozsypał się i dziś trafi do pojemnika z napisem „Papier”. Akcja egzotyczna była. Ktoś kogoś zabił na morzu, na statku płynącym do jakiegoś portu w Ameryce Południowej. Statek oczywiście był polski, trup też przynależał do tego państwa.

Nawet kisiel sobie ugotowałam. Ostatnie opakowanie. Przy okazji znalazłam dwie zupki typu „Gorący kubek”, otwartą przyprawę do kawy i rozpoczęty barszczyk czerwony w proszku. Termin ważności niby minął, ale wiadomo, że to, co w torebkach to prawie czysta chemia, może więc jeszcze wykorzystam.

Wieczorny spacer poświęciłam medytacjom na temat potrzeb człowieka. Tych materialnych przede wszystkim.

Co tydzień syn przywozi mi zakupy. I wystarczają na tydzień. Niewiele tego. Mógłby więcej, gdybym chciała. Ale jakoś mi się nie chce. Moje obecnie skromne i bardzo proste jedzenie spowodowało, że poziom cukru we krwi mam w normie, a waga trochę się cofnęła. Z konta też ubywa mniej pieniędzy....

Również wczoraj wieczorem uświadomiłam sobie, że wychodząc z psem poza teren bloku codziennie widzę jasną Wenus. Ponad trzydzieści lat mieszkam w tym miejscu, od dziesięciu chodzę tą samą trasą z psem, a dopiero teraz dotarło do mnie, że to Wenus.... taka planeta... zerka na mnie każdego wieczora... I podgląda. Znaczy się permanentna inwigilacja. A co najciekawsze takiej Wenus nie potrzebny mój pesel, by wiedzieć, o której i gdzie chodzę....

Cuda i dziwy.

XXVII

8 kwietnia 2020 – Wampiry, zombie i jogging

film na dziś „Underworld”

Tak, moi drodzy.... to już cztery tygodnie, jak siedzę w zamknięciu. Dopada mnie syndrom więźnia, ale co tam. Nie daję się. Wprost przeciwnie. Ostatnio nawet humor mi dopisuje.

Rzeczywistość za oknem robi się coraz śmieszniejsza.

Dzwonię wczoraj do kuzynki, by dowiedzieć się, jak sobie radzi w ten trudny czas. Kuzynka oczywiście radzi sobie. Żyje. Młodzi robią jej zakupy, no i niestety nie ma psa. Brak psa powoduje, że wychodzi tylko na balkon.

Ja, jak wiecie psa mam i swoje M3 opuszczam. Dobrze, napiszę, że tylko 100 metrów od domu. Wczoraj nocą spotkałam swoją czytelniczkę. Zwróciła mi uwagę, że od domu jestem za daleko. Choroba, skąd wiedziała, że ja to ja? Ale w sumie fajnie spotkać kogoś, kto mnie czyta. Pozdrawiam!

Tak więc kuzynka psa nie ma. Chciała się jednak wyrwać choć na moment z czterech ścian. Jako cel wycieczki – ucieczki wybrała cmentarz. W sumie miejsce spokojne, ciche, bezludne. Zaludnia się jedynie dwa razy do roku – na początku listopada.

Niestety, pochwaliła się swojej młodzieży. Ta całkowicie zakazała.

Bo jest całkowity zakaz wstępu na cmentarze.

Potwierdziłam. Było o tym w internecie.

Gdzie sens, gdzie logika tego zakazu? Sorry. Nie wiem. Nie rozumiem. Zarobiona jestem.

Być może jest to wiara w zmartwychwstanie? Jako naród katolicki wierzymy, że kiedyś podniesiemy się z grobów? Czyżby ten czas miał nadejść w związku ze zbliżającymi się świętami?

Być może jest to wiara w zombie? Mały, wredny hitlerok, zwany swojsko koronawirusem, obudzi zmarłych i będziemy mieć dobrą żywych trupów?

Być może nasze cmentarze są miejscem pobytu krwiożerczych wampirów, których ostatnio kultura masowa wyprodukowała tysiące? Tacy krewni Edwarda ze „Zmierzchu” czy Selene z „Underworldu”?

Z której strony by nie patrzeć, jak tacy z grobów wstaną, to się na cmentarzu zrobi tłum nie do ogarnięcia. Może więc lepiej na te cmentarze nie chodzić?

Drugie niezwykle ważne pytanie dnia zadała sąsiadka. Oznajmiła, że zupełnie pogubiła się w rozporządzeniach i już nie wie, co tak naprawdę jest jej „niezbędne do życia”. Ktoś odpowiedział, że to policja zweryfikuj jej potrzeby. Bo jeśli wyjedzie na swoją działkę po skitraną tam w kopcu marchewkę do świątecznej sałatki warzywnej, zatrzyma ją policja, to różnie może być. Policjant lubiący sałatkę, znaczy się wegetarianin – przepuści. Ale mięsożerny może mandat wystawić. W wyniku ożywionej dyskusji z mojej strony padły słowa Kartezjusza „Wątpię, więc myślę. Myślę, więc jestem”, na co sąsiadka zadała kolejne pytanie godne Szekspira - „A czy ja jeszcze jestem?”. No właśnie.... czy moją niezbędną potrzebą jest „być czy nie być”, myśleć czy nie myśleć, jeść czy nie, bo i tak później wszystko w sedesie....

Kiedy wydawało mi się, że już nic wczoraj mnie nie zaskoczy, moje życie na

kwarantannie, narodowej rzecz jasna, przerosło Bareję.

Blisko mnie znajduje się szkolne boisko. Nie było jakie, bo to taki mały stadion. Po zajęciach szkolnych zostaje on zamknięty i teoretycznie nikt na niego wstępu nie ma. Teoria sobie, a praktyka sobie. Odkąd jest (ile to już lat? 10? 15?) popołudniami i wieczorami uprawiają tu jogging mieszkańcy osiedla.

(Rzecz jasna obecnie uprawiają go nocami).

Aby dostać się na bieżnię, biegacze wyłamali kilka prętów w ogrodzeniu i prześlizgują się przez otwory. Kiedyś próbowano je na nowo przyspawać, ale w końcu odpuszczono. I tak istniało ciche przyzwolenie na prowadzenie zdrowego stylu życia.

Wczoraj wychodzę z psem (legalnie, zupełnie legalnie 100 metrów od domu) i oczom nie wierzę. Na dwóch otworach biało-czerwona taśma i kartka formatu A4 z napisem „Zakaz wstępu na teren boiska szkolnego z powodu epidemii koronawirusa” (pisownia oryginalna).

Co zrobił człowiek udający się na wieczorną przebieżkę?

Przeskoczył ogrodzenie.

Wybaczymy mu. Jego umiejętność szybkiego biegania będzie potrzebna w celu wyłapywania wampirów lub zombie, kiedy te opanują cmentarz. Lub przynajmniej zwieje im sprzed nosa i rodzaj ludzki będzie uratowany.

XXIX

10 kwietnia 2020 – Zasada nieoznaczoności

film na dziś „Siódma pieczęć”

Patrząc na swoje felietony, widzę, że to już blisko miesiąc.... Przyjmując oczywiście, że miesiąc to 30 dni, bo jeśli 31 to minie jutro. Ale jakie znaczenie ma obecnie jeden dzień dla tych, co przebywają w domach?

Wczorajszy nie zapowiadał się szczególnie. Po przeczytaniu słowa drukowanego w towarzystwie kawy, przeszłam do słowa wystukanego. Znaczy się zaczęłam klikać w klawiaturę. W pewnym momencie postanowiłam wstać i rozciągnąć się, bo kręgosłup już nie ten (kostny, nie ten moralny!).

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam karetkę pogotowia. Zawsze ten pojazd wzbudza niepokój. Obojętnie czy zaraza, czy rocznica.

Karetką nie podjechała pod blok na sygnale, bo nic nie słyszałam. Nie miała „R” na sobie, czyli najgorzej nie jest. Wrodzona ciekawość kazała mi patrzeć i czekać. Ostatnio napatrzyłam się w telewizji na zamaskowanych lekarzy i ratowników. Może ujrzę ich na żywo. Nic z tego. Z klatki wyszli zupełnie normalnie

ubrani ludzie jeżdżący karetką. Jeden usiadł koło kierowcy i zaczął klikać w laptopa. Jak wyklikał, poszedł w głąb pojazdu i przyniósł wydruk. Kolejny wziął go i zaniósł.... pewnie do człeka, u którego byli.

Potem zrobiło się mniej radośnie. Na innej z klatek pojawiła się klepsydra. W wieku 82 lat zmarł sąsiad....

Czyżbym pomyliła klatki schodowe?

Wieczorem najpierw dokończyłam oglądanie serialu, jednego z tych, co to nazywają „serialem wszech czasów” - „Powrót do Edenu”. Chodzi oczywiście o tzw. pierwszy sezon. Drugi była to chała komercyjna i jakoś nie chce mi się do niego wracać. Kto jednak nie oglądał pierwszego, to nie zna życia i tyle.

Tak więc kiedy już po raz enty Stefania zemściła się na Gregu i swej kuzynce, wyszłam na spacer, by pomedytować patrząc na gwiazdy. Właśnie czytam książkę z gatunku popularnonaukowych „Człowiek i Kosmos”. Niewiele z tego kumam. Ale zawsze warto się zastanowić, czy wszystko się oddala, czy zbliża. Czy czeka nas kolejny Wielki Wybuch, a wtedy żadna kwarantanna nam nie pomoże.... Śmierć we wszechświecie nie wybiera....

I wtedy zadzwonił syn. Oznajmił, że w związku z koniecznością noszenia maseczek właśnie siedzi przy laptopie i wybiera, którą kupić. Mnie proponuje taką z wizerunkiem Jokera. Jak już nosić, to coś z przysłowiowym jajem. Zwłaszcza, że jajeczne święta za pasem. Dobra, niech będzie z Jokerem. No i co z tego, że droga. Tyle teraz mówi się o wspieraniu drobnych biznesmenów, że trzeba takiego od jajcarskich maseczek wspierać. Co prawda maseczki mam, nawet na zmianę. Sąsiadka, szyjąca społecznie maseczki, podarowała mi trzy. Oczywiście bardzo dziękuję! Ale w obecnym czasie nigdy ich za wiele.

Oczywiście synowi przypomniałam, że takie maseczki trzeba prać lub gotować.

„A nie można wymoczyć w alkoholu?” - zapytał.

„A nie szkoda ci alkoholu” - odpytałam.

„Ale potem ten alkohol będę wdychał!”

No nie, szkoda słów. Zaraza panuje. Ludzie umierają, a temu żarty w głowie....

Co by jednak nie mówić, humor mi poprawił.

Po powrocie otworzyłam piwo. Włączyłam telewizor i razem z sunia obejrzałyśmy serial „Cezar Millan na ratunek”. Psiarze pewnie go znają. Tych co nie znają, informuję, że to „zaklinacz psów”.

I kiedy wydawało się, że dzień skończy się pozytywnym akcentem, włączyłam komputer, by przejrzeć ostatnie wiadomości....

Jedną z nich była informacja o śmierci mego ucznia.....

Wypadek samochodowy....

Prysnął czar maseczek i teorii powstania wszechświata.... Nastąpiła rzeczywistość....

Przypomniała mi się zasada nieoznaczoności.... nie można z dowolną dokładnością wyznaczyć jednocześnie położenia i pędu cząstki...

Nie można jednocześnie cieszyć się i płakać z rozpaczy....

XXX

11 kwietnia 2020 – Nie będzie wirus pluł nam w twarz

film i książka na dziś „Folwark zwierzęcy”

Spokojnie, po wczorajszym dniu – tylko spokojnie. Wyciszyć się. Łyknąć jakąś tabletkę na nerwy. Odetchnąć głęboko. I do pracy.

Zaczęło się niewinnie. Napisałam wczoraj felieton i tradycyjnie chciałam umieścić go w sieci jako komentarz do innych artykułów lub wypowiedzi internautów.

Włączam więc sieć i dostaję oczopląsu.

Wszędzie to samo.

Fotki lub filmiki z uroczystości smoleńskich.

Wiem, że to było do przewidzenia, ale....

Owe fotki pokazują nielegalne, jak się normalnym ludziom wydawało, zgromadzenie.

Wszystko pod okiem naszej narodowej policji.

Tworzą go przedstawiciele rządu.

Na czele zgromadzenia – szary poseł.

Z boku pan premier, który dzień wcześniej powiedział, że mu smutno, bo w święta nie spotka się z mamą.

Wszyscy bez maseczek i bez rękawiczek.

Czyżby przykład zbiorowego samobójstwa? Wirus szaleje, a oni nic? Nie, samodzielne pozbawienie się życia nie wchodzi w rachubę. Ludzie chcą za wszelką cenę przedłużyć posiadanie przez siebie władzy. Muszę być silni, zdrowi i zwarci w walce o Belweder, Sejm, Senat i Plac Piłsudskiego. Nie, nie chcieliby narodu osierocić. Jeszcze tyle rzeczy do sknocenia pozostało.

Wiara w to, że Bóg jest po ich stronie i ochroni przed małym, wrednym hitlerkiem? Zgromadzeni osiągnęli już etap fanatyzmu religijnego? Już niedługo takie jak ja spotka los czarownic z Salem?

Też chyba nie.... Niektórzy z nich na fanatyków religijnych nie wyglądają... ale z religiami nigdy nic nie wiadomo.... Szukajmy przyczyn dalej.

Zgromadzenie ludzi bez masek na Placu Piłsudskiego oraz na wojskowych Powązkach miało na celu pokazanie społeczeństwu, że „My się niczego nie boimy. Pamięć o bohaterach jest ważniejsza niż jakiś tam wirus rodem z Chin. Ludowych do tego”. Gdyby to było przyczyną, zapewne namawialiby lud do wielkiej manifestacji patriotycznej w stylu „Nie będzie wirus pluł nam w twarz”. Nie, zatem też nie jest to podstawowa przyczyna....

Bo jeśli tak było, to rząd na czele z premierem, sam sobie strzelił w kolano. Łamiąc osobiście wszelkie zasady wyznaczone ludowi, elita władzy temu samemu ludowi pokazała po raz kolejny.... wiadomo co. Postąpił wedle zasady „Co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie” (przysłowia mądrość narodu). Lub wersja międzynarodowa „Wszystkie zwierzęta są sobie równe, ale niektóre są równiejsze od innych” - George Orwell.

Pytanie, czy lud to zrozumie.

Cóż zatem jest podstawową przyczyną zgromadzenia wbrew ponoć obowiązującemu na dzień dzisiejszy prawu?

Kochani, oni o czymś wiedzą. Wiedzą o czymś, o czym my nie wiemy. Może znają datę końca świata i w związku z tym wszystko już im obojętne? Może wiedzą o przylocie kosmitów i chcą się z nimi zabrać do odległej galaktyki? Może mają już tajną szczepionkę na wirusa?

A może może po prostu ten wirus wcale nie jest taki szkodliwy, jak się nam wmawia?

Ktoś w internecie zamieścił mem parafrazujący słowa słynnej „Jej ekscelencji” z „Seksmisji” - „Wirus nie okazał się tak silny, jak się wydawało. Skoro jednak zaczęli żyć w kwarantannie, nie było sensu tego dementować. W kwarantannie łatwiej nad nimi panować”.

Uczestników słynnego zgromadzenia można posądzać o wiele i zarzucać im wiele. Nie można ich jednak posądzać o ujemny iloraz inteligencji.

Wczoraj pod postami wyrażającymi oburzenie zamieściłam komentarz „ Jeśli żaden z nich nie zachoruje na wirusa, to zaczynam wierzyć we wszystkie teorie spiskowe”. Podlajkowało go więcej osób, niż przeczytało mój wczorajszy felieton

Czekam.

XXXI

12 kwietnia 2020 - Na szlaku Alleluja

film na dziś „Na szlaku Alleluja”

Tegoroczne przygotowania do świąt rzecz jasna przebiegały u mnie zupełnie inaczej. W ubiegłym roku gotowałam, piekłam. Akurat urodził się mój wnuk i święta spędzaliśmy w powiększonym gronie. Wspólnie święciliśmy jajka, wspólnie jedliśmy obiad....

Wczoraj przygotowałam jedynie sałatkę warzywną i babę wielkanocną. Przy kręceniu tej ostatniej (nie mikserem, własnoręcznie, takim czymś do kręcenia ciasta) dopadły mnie wspomnienia – wielkanocne.

To było w 1978 roku.... roku maturalnym. Kończyłam szkołę średnią i byłam zakochana. Na święta wielkanocne mama wyjechała do sanatorium. Ojciec z bratem skorzystali z zaproszenia na chrzciny do rodziny w innym mieście. Ja nigdy nie przepadałam za rodzinnymi zlotami. Złośliwie nazywałam je sabatami.

Zostałam w domu sama. Kupiłam trochę ciasta. Wędlina w domu była. Wymalowałam jajka. W sobotę wraz ze swym chłopakiem poszliśmy te jaja poświęcić. Umówiliśmy się na wspólne spędzenie świąt.

Pierwszego dnia spotkaliśmy się o szóstej rano przed drzwiami katedry. Poszliśmy na mszę zwaną „Rezurekcją”. O tej godzinie we wszystkich wypełnionych po brzegi kościołach rozbrzmiewały dzwony, a tłum śpiewał „Wesoły nam dziś dzień nastał”.

Było coś magicznego w tej rannej mszy.... Słońce właśnie wstawało i przedzierało się z mroków nocy.... piękna symbolika pięknego religijnego doznania....

Tak się wówczas czułam.... zwłaszcza, że obok stał ukochany....

Po mszy poszliśmy do mego mieszkania i zjedliśmy skromne świąteczne śniadanie. Po raz pierwszy razem, w ten szczególny czas, elegancko ubrani zasiedliśmy przy stole. Tylko we dwoje....

Było uroczyście i błogo. Zaplanowaliśmy również dalsze świętowanie. Spotkamy się po wszystkich hecach rodzinnych, śniadaniach, obiadach, rozmowach z ciociami i wujkami. Oczywiście, że u mnie, wszak chata wolna.

W oczekiwaniu na spotkanie włączyłam telewizor. No nie, bez przesady, całego programu nie pamiętam. Był wyjątek.

Amerykański film z 1965 roku „Na szlaku Alleluja”. Komedia westernowa. Ubaw po pachy. Faceci i whisky. Indianie i feministki. Słowem – siedziałam sama w domu i śmiałam się do łez.

Mój chłopak przyszedł wraz ze wspólnym kumplem. Spotkał go na ulicy, kiedy ten prysnął z domu. Miał dość rodzinnego sabatu. Przygarnęliśmy go pod nasze skrzydła. Niech człowiek nie będzie sam w te święta.

W sumie nie pamiętam, kto dostarczył zaopatrzenie w postaci tradycyjnego polskiego „pół litra”. Czy któryś z panów zwinął rodzinie, czy też ja zapobiegliwie kupiłam.... W każdym razie procenty były, jajka też, jakaś odrobina wędliny. Wystarczyło, by usiąść, pośmiać się, pogadać o przyziemnych sprawach, o szkole,

nauczycielach, zbliżającej się maturze, pogodzie, obgadać innych znajomych i ponarzekać na rodziców.

Kiedy w butelce pokazało się dno, postanowiliśmy pójść na spacer. Było już ciemno. W prowincjonalnym miasteczku tradycyjnie - nikogo na ulicach. Doszliśmy aż do mostu na rzece będącego równocześnie jedną z dróg wylotowych z miasta. Humor nam dopisywał i zaczęliśmy machać do nielicznych ludzi poruszających się samochodami. Kto miał większy ubaw? Pewnie my. Tamci patrzyli na nas co najmniej dziwnie.

Ktoś się nawet zatrzymał, pytając co się stało.

„Nic! Wesołych świąt!”

Nie zakumał. Posłał w naszą stronę wiązanek słowną, którą zwykle stosuje się w przypadku spotkania z osobą nadużywającą.

Rozstaliśmy się późną nocą. Każdy poszedł w swoją stronę.

Dziś, kiedy inni pytają mnie o wspomnienia związane ze świętami, przed oczami mam właśnie tamtą Wielkanoc. Zupełnie nie wiem dlaczego....

Ukochany wyjechał. Gdzieś mieszka w Polsce.... Kumpel mówi „Cześć” na ulicy....

Dziś znowu jestem sama w świąteczny dzień....

Oczywiście, zaraz zrobię jednoosobowe świąteczne śniadanie i włączę „Na szlaku Alleluja”!

Wesołych Świąt!

XXXII

13 kwietnia 2020 – Policja bez akcji

film na dziś „Żandarm na emeryturze”

Wczorajszy dzień, czyli pierwszy dzień Świąt, minął tradycyjnie. Jak na kwarantannę przystało. Z rodziną wymieniliśmy się potrawami. Przed blokiem oczywiście. Bez żadnego kontaktu intymnego, bez podawania rąk ani przytulank. Pogoda natomiast była piękna. Zaliczyłam trzy spacer z psem.

I policję widziałam!

A już zapomniałam jak wygląda na żywo. Ostatni raz widziałam przedstawicieli prawa w pierwszych dniach kwarantanny. Spacerowali wówczas po osiedlu i wypatrywali ludzi z naszej osiedlowej „ławeczki”. Potem ślad po policji na osiedlu zaginął.

W akcji widziałam policjantów jedynie w filmach gangsterskich oraz w sieci

na filmikach dostarczanych przez szarych obywateli. Ostatnimi czasy nie był to ciekawy widok. Panowie na czarno wlepiali mandaty małżeństwu i rodzeństwu za chodzenie w odległości mniejszej niż dwa metry, za jazdę rowerem na trzeźwo, zakup hamburgera, spacer z dzieckiem. Sami oceniali co oznacza „wyjście z domu w ramach załatwianie niezbędnych spraw”. Niektórych konieczność oceniania wyraźnie przerosła i policja w pewnym momencie stała się tematem kpin. Zwłaszcza kiedy inwalida na elektrycznym wózku zwiął im sprzed nosa. Lub w momencie, kiedy policjant kazał się pojedynczemu człowiekowi zapoznać z informacją, iż ów uczestniczył w zgromadzeniu powyżej dwóch osób.

Lud filmował bzdury, umieszczał w sieci i nawoływał do nieprzyjmowania mandatów. Bo niezgodne z konstytucją.

Niektórzy przyjmowali, niektórzy nie. Ci co przyjmowali, mówili, że w naszym kraju brak wszelkiej stabilności a konstytucja łamana jest codziennie. Mandat może dziś jest nieważny, ale jutro nocą przejdzie jakaś ustawa z datą wsteczną i okaże się ważny.

W owym czasie nastąpiło zgromadzenie przed wiadomym pomnikiem. Ludzi było powyżej dwóch, nie zachowywali przepisowej odległości, nie nosili rękawiczek ani maseczek. Policja nie interweniowała.

Oczywiście lud wzburzył się jeszcze bardziej. Zobaczymy, co z tej burzy wyniknie.

W każdym razie ja wczoraj stojąc na balkonie ujrzałam oznakowany wóz policyjny. Osobowy do tego. Znaczący się nikogo łapać nie będą. Patrolują. Przejechali wolno pomiędzy blokami. Nawet na moje tzw. podwórko zajechali.

Znaczący się są. A już myślałam, że miasto zostało bez obstawy....

Miałam ku temu powody. Wszak ja mam psa i legalnie chodzę po osiedlu. W południe i późnym wieczorem. Jeszcze nigdy w ciągu owych 32 dni nie spotkałam żywych policjantów na osiedlowych terenach rekreacyjnych. Nikt mnie nie zaczepił. Nikt nie zapytał o zdrowie. Nikt się do niczego nie przyczepił. Zupełnie jak za czasów przed zarazą.

Zdarza mi się wracać do domu po północy. Biorę wówczas psa i wyprowadzam na ostatni przed snem spacer. Z reguły wracam z jakiejś imprezy, czyli jestem w dobrym humorze. Żeby go utrwalić – biorę ze sobą piwo. I tak sobie idę. I tak sobie marzę, żeby mnie ktoś tak przyłapał i wsadził mandat za picie alkoholu w miejscu publicznym.

Nic z tego. Nikogo. Dosłownie nikogo nie ma.

Teraz i przedtem.

XXXIII

14 kwietnia 2020 – Sprawa przeżycia

film na dziś „Pod Mocnym Aniołem”

I co by tu dziś powiedzieć.... jak zwykle nic... Święta, święta i po świętach.

W drugi ich dzień, zwany Poniedziałkiem Wielkanocnym, bo wypada zawsze w poniedziałek (hi hi to taki durny dowcip), w niektórych częściach Polski popadało. U mnie pokropiło. Tak samo mocno jak księża święcący jajka. Czy to w kościele, czy z samochodu. Wiadomo, kropidło niewiele wody nabierze. Tak więc ziemia na moich osiedlowych trawnikach nie odetchnęła. Nadal sucha.

Z braku innych zajęć tradycyjnie nawiązałam kontakt telefoniczny z koleżankami spędzającymi święta podobnie jak ja.

Najbardziej zaskoczyła mnie koleżanka – inwalidka. Swoje mieszkanie opuszcza rzadko. Ma poważne kłopoty z poruszaniem się. Na początku narodowej kwarantanny stwierdziła, że siedzenie w chacie jej nie rusza. I tak siedzi, i tak siedzi. Ale wkrótce zaczęła wychodzić – do sklepu. Bo musi kupić jedzenie. Bo musi kupić papier, toaletowy rzecz jasna. Mówię jej, że w każdym mieście są organizacje i osoby, które takim ludziom jak ona pomagają. Nawet numery telefonów w sieci znalazłam. „Zadzwoń, powiedz, czego ci trzeba, kupią. Zapłacisz przy odbiorze. przy okazji śmieci wyniosą”. - mówię przez telefon. Brak reakcji.

Wczoraj oznajmiła, że bardzo chce wyjść, że musi wyjść, ale nie wychodzi, bo wie, że nie wolno. Zresztą padało.

Cóż, dopadł ją typowy syndrom więźnia. Jak nie można wyjść to się chce. Jak będzie można, to się pewnie odechce.

Z drugą koleżanką wdaliśmy się w dyskusję na temat istot należących do tzw. „ławeczki” - kulturalnie, inaczej zwanych „obszczymurkami”. Nie, nie chodziło tu o konkretne osoby. Chodziło o problem.

Dlaczego oni tak długo żyją?

Dlaczego nie chorują?

Ot i zagwostka...

Nie da się ukryć. Ludzie z grupy nazwijmy ją „Ł” trzymają się wyjątkowo dobrze, jak na tryb życia, który prowadzą. Może pomoże nam w rozwikłaniu tego zagadnienia stary dowcip.

„Pani pyta dzieci w szkole, kim chciałyby zostać w przyszłości. Jasiu odpowiada, że menelem. Pytanie pani – dlaczego. Na to Jasiu:

Nie będę pracował, nie będę miał pieniędzy, nie będę miał problemów, co za nie kupić. Nie będzie mnie ścigał urząd podatkowy. Słowem – nie będę nerwowy. Czas będę spędzał w gronie przyjaciół. Przyjemnie będzie. I będę żył na świeżym powietrzu, co zapewni mi zdrowie”.

Kiedy tak przyjrzeć się wypowiedzi Jasia, to wszystko się zgadza.

Większość chorób bierze się z nerwów. Pieniądze jak wiadomo, szczęścia nie dają. Do przeżycia człowiekowi niewiele potrzeba. Kawalek chleba i trochę wody. Takie pierwiastki potrzebne do życia. Przyjaciele – rzecz ważna. Dziś chyba najbardziej cierpimy z powodu braku kontaktu człowieka z człowiekiem. A jak wiadomo z obserwacji, menel menela w potrzebie nie opuści. Menele zawsze

trzymają się razem.

I podstawowa rzecz – pobyt na świeżym powietrzu!

Tego najbardziej nam teraz brakuje! Chcemy na spacer! Chcemy do lasu!
Chcemy na działkę!

Ludzie z grupy „Ł” stale przebywają poza pomieszczeniami. Jeśli zaś w nich są, to są to pomieszczenia zimne, nieogrzewane i brudne. Jak sami „Ł” zresztą. I tu chyba wyjaśnia się sprawa ich odporności na choroby.

W trakcie obecnej epidemii pojawiło się sporo tekstów o wpływie zwierząt domowych na ich właścicieli. Zwierzęta przenoszą wiele wirusów i bakterii. Dzięki temu ich właściciele mogą być na wiele zaraz uodpornieni. Warto również zauważyć, że zwierzęta potrafią się ze swoimi potrzebami dostosować do warunków, w których przebywają.

Kto wie, czy organizmy „Ł” mający na sobie i w sobie wszelkie bakterie, nie posiadają przeciwciał uodporniających ich na wszelkie choroby, w tym na małego, wrednego hitlerka też?

My nosimy maseczki, myjemy ręce, szorujemy klamki, a oni mają to gdzieś....

Nie da się jednak ukryć, że obecny wirus wygonił ich ze świeżego powietrza. Mojej „ławeczki” na terenie przed sklepem nie ma.....

Ale w kolejce po piwo lub wino marki wino "Ł" stoją. Przykładnie. Pokornie.

Gdzie piją?

Nieważne. Na pewno przeżyją, bo zahartowani.

XXXIV

15 kwietnia 2020 – Lenin zawsze żywy

film na dziś „2012”

Dziś oczywiście, że o samolocie, tym, co to wczoraj wylądował na Okęciu. A tylko dlatego wylądował, bo innych nie było i miał miejsce, by wylądować.

I to wcale nie jest żart ani złośliwość. To fakt. Autentyczny do tego. Słynny Antonow z trudem mieści się na boisku piłkarskim, zatem jego lądowanie i start musi odbywać się na praktycznie pustym lotnisku.

Zacznijmy od próby udzielenia w miarę sensownej odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego to on, a nie inny Boeing maseczki przywiózł?” Że niby za drogo ten rejs z Chin, ludowych, zresztą, polskiego podatnika kosztował. Oczywiście pojawiły się wyliczenia, że „Lotem” bliżej, że w czasie kryzysu gospodarczego trzeba wspierać swoich. Pewnie ludzie mają rację. Kilka lotów polskim „Lotem” załatwiłoby sprawę. Ale przecież nie tylko o słynne maseczki tu chodziło.

I teraz cofnijmy się do czasów starożytnych. W czasie Wielkich Dionizji Grecy otrzymywali od władzy wino i przedstawienia teatralne. W Rzymie władza

utrzymywała władzę dzięki realizowaniu naczelnego hasła „Chleba i igrzysk!”. Lud zawsze miał coś za darmo. Cel był jasny – władza jest cacy. I nie dajmy się oszukiwać – lud teatr, wino i igrzyska lubił. Zwłaszcza jak na arenie tłukło się na śmierć kilku gladiatorów lub lwy rozszarpały chrześcijan. Jakie czasy, taka rozrywka.

Pojawienie się na polskim niebie radzieckiego Antonowa też było rozrywką. Na miarę epidemii XXI wieku.

Nawet ja, która z rana nie włącza telewizora, tym razem utkwiałam wzrok w szklanym ekranie. I to w tzw. dużym pokoju, bo tam ekran większy.

Gdy tak sobie majestatycznie leciał nad naszą polską ziemią, pomachał skrzydełkami, od razu przypomniały mi się czasy młodości....

Wszak Antonow to wielka myśl Związku Radzieckiego. Państwa nie ma, samolot jest. Lenin wiecznie żywy. Wielki Brat ponownie na nas spogląda. Tym razem jako wybawiciel. Wspólnie oczywiście z Chinami, ludowymi zresztą.

Wszyscy byli zachwyceni. Przedstawiciele rządu uroczystie komunistyczne maseczki przywitali. A lud się cieszył.

Był dzień bez małego, wrednego hitlerka?

Był.

Przyjemnie było?

Przyjemnie.

Kilka Boeingów lądujących na Okęciu nie zrobiłoby takiego wrażenia.

Są tacy, którzy uważają, iż przylot Antonowa ma przykryć nie tylko wirusa, ale i sprawę aborcji, mienia żydowskiego i kilku innych, które chce w sejmie przepchnąć władza.

Potem w sieci rozpoczęła się narodowa dyskusja na temat, ile ton przyleciało z Chin. I tu naród się podzielił. Ktoś krzyknął „400”. Bzdura. Antonow uniesie tylko 250. No to te 250! Nic z tego. Pani w TVP Info przeliczyła – 100 milionów ton!

W ostateczności wyszło, że nie więcej niż 100. Nic nie wyparowało. Nikt w powietrzu niczego nie ukradł. Wyjaśniła to moja była uczennica – samolot był wypchany po brzegi. Tyle tylko, że maseczki są po prostu lekkie. Proszę, jak mądrze dziecko wyuczyłam na lekcjach polskiego.

Kolejna dyskusja dotyczyła tego, kto tak naprawdę kupił owe najszlachetniejsze maseczki w Polsce. „Rząd! Premier! Ten z Żoliborza! Inni to tylko gadać potrafią, a nic nie robią!” - przekrzykiwali się zwolennicy władzy.

No i chyba trzeba ich rozczarować. Tak samo jak 500+ płacone jest z naszych podatków, tak samo towar w Antonowie jest za nasza pieniądze.

Za igrzyska zawsze płaci lud. Najważniejsze jest wcisnąć mu, że tego nie robi.

Film na dziś – oczywiście „2012”. Pasuje jak ulał do wczorajszego wydarzenia dnia. W filmie świat ratują oczywiście Chińczycy, bo to oni budują słynne „arki” chroniące ludzi. Oczywiście nie za swoją forszę. Dziś to chińskie maseczki ratują Polskę. Za polskie pieniądze.

Główni bohaterowie filmu uciekają przed kataklizmem właśnie samolotem marki Antonow. I ten właśnie radziecki samolot ratuje im życie.

Cieszymy się z igrzysk.

Niedługo odmrożenie gospodarki i nie wiadomo, co nas czeka.

XXXV

16 kwietnia 2020 - Szczepionka Billa Gatesa

film na dziś „Surogaci”

I od dziś . Maski na twarz. Dobrze, w porządku, spoko. Nałożę. Tyle tylko, że mojej pomadki mi żal...

W czas kwarantanny, czas nie całkowicie normalny, maluję powieki na zajebicie różowy kolor. Takim cieniem, który w całej palecie cieni omijałam szerokim łukiem. Pędzelka oczywiście. Do tego dokładałam zajebicie czerwoną pomadkę, zwaną inaczej szminką. (To wyjaśnienie dla facetów, którzy nie kumają kosmetycznej terminologii).

Teraz czerwieni na ustach już nie będzie. Co prawda znajoma podesłała mi link do filmiku, jak ładnie wymalować maseczkę, ale za dużo roboty. Bo to i podkład trzeba, i puder, i coś tam jeszcze, by z białej maseczki uzyskać efekt takiego Jokera.

Wolałam sobie go kupić. W ogóle to kupiliśmy maseczki rodzinnie. Syn teraz zakłada wściekle usta Hulka. Twarz jak na Halloween. Ja wybrałam Jokera. Czekam na dostarczenie do domu. Jak by nie patrzeć, strój na tegoroczne święto duchów już jest. Podejrzewam, że 31 października najwięcej będzie jednak koronawirusów. O tym, jak się nosi maseczki, na pewno jeszcze nie raz napiszę.

Druga sprawa jest poważniejsza. Wczoraj, tuż przed zalegnięciem w łóżku, trafiłam w sieci na przerażającą wypowiedź. Człowiek, nie przebijając w słowach, wyzywał i wyklinał ministra zdrowia. Ten miał powiedzieć, że stan wirusowy będzie panował tak długo, jak długo wszystkich się nie zaszczepi. Krzyczący do kamery mężczyzna twierdził, że to będzie ludobójstwo, a stoją za tym najbogatsi tego świata z Billem Gatesem na czele.

Oczywiście Bill Gates przyśnił mi się w nocy, jak wstrzykiwał mi coś w prawe ramię (spałam na lewym boku).

Nie, rano nie weryfikowałam wypowiedzi ani ministra, ani krzyczącego pana. Dorwałam się do jakiegoś romansu z czasów napoleońskich. Taka praca socjologiczna. Muszę przez niego przebrnąć, żeby uzyskać odpowiedź, dlaczego

tysiące, ba, miliony kobiet uwielbiają tego typu literaturę.

Wracajmy do szczepionki...

Na początku narodowej kwarantanny dotarła do mnie teoria spiskowa mówiąca właśnie o szczepionkach. Każdy obywatel na Matce Ziemi miał być obowiązkowo zaszczepiony. Czy to na koronę, czy na sarsa czy na wściekliznę, to nieistotne. Najważniejsze, żeby wszczepić mu mikroczip. Ten czip pozwoliłby na jeszcze większą permanentną inwigilację, o której w czasach Związku Radzieckiego nawet nie marzono. Urządzenie kontrolowałoby nasze nerki, wątrobę i uzębienie. Gorączkę oczywiście też. I tak człowiek chory – siedzi w domu, zdrowy – baluje.

Szczerze mówiąc nie mam nic przeciwko takiemu czipowi. Koleżanka, z którą o tym rozmawiałam, też nie. Zamiast łązić po lekarzach i łykać lekarstwa na żołądek, od razu będzie wiadomo, że to wątroba. Proste zalecenie – mniej alkoholu i w porządku.

Sprawą problematyczną jest, czy mikroczip będzie kontrolował nasz umysł. Czy będzie kierował naszym życiem osobistym? W kim się zakochać? Czy pokieruje, jak głosować w wyborach? Takich tych najbliższych na przykład....

Ja nie żartuję. Ja się nie śmieję.

Poczytajcie Juliusza Vernea. Facet żył na przełomie stuleci, a jakie rzeczy wymyślił! Fascynował mnie, kiedy byłam w szkole średniej. Wchłaniałam powieść za powieścią zachwycając się wynalazkami ich bohaterów. Ponad sto lat temu uchodziły za wymysł pisarza, zaliczano je do pojęcia „fantastyka naukowa”.

A kto z Was zna film „Surogaci” ? Akcja filmu rozgrywa się w 2017 (!!!) roku. Ludzie żyją w całkowitej izolacji, a jedyny kontakt między nimi następuje za pomocą robotów, które są udoskonalonymi wersjami ich samych!

Jak niewiele nam brakuje do tego, by wydarzenia w filmie stały się autentyczne! W domach już siedzimy, zamiast robotów mamy komputery.... na razie.... na razie... póki co... póki co....

Jedną z rzeczy, której bardzo mi brak w czasie kwarantanny, jest biblioteka. Uwielbiam szperać w książkach, zwłaszcza starych. Chyba po zakończeniu tej całej hecy, zacznę nałogowo czytać właśnie Vernea. W jego twórczości na pewno znajdę odpowiedź, co też szykuje nam Bill Gates...

XXXVI

17 kwietnia 2020 – Wirusy i bakterie

film na dziś „Wojna światów”

Wczorajszy dzień minął pod znakiem maseczki na twarz. Pojawiło się wiele teorii o tym, jak nosić, gdzie nosić i jaką nosić. Ktoś nawet napisał, w jaki sposób z jednorazowej maseczki zrobić wielorazową. Ponoć ma to sens, bo Antonow przywiózł (choroba, chyba niedobre słowo, wozi się autem, jaki wyraz oznacza, że

coś przyleciało samolotem...) tylko 5 mln niezbędnej Polakom rzeczy, a naród ma ponad 30 mln obywateli. Poza tym ciągle nie wiem, czy owe maseczki z Antonowa są wielorazowego, czy jednorazowego użytku.

Ja mam cztery bawełniane, co to prać i gotować można. Do tego za pomocą tzw. ręcznika papierowego i zszywacza biurowego wykonałam dwie, na próbę oczywiście. Kupować nie zamierzam.

Wczoraj na spacer z psem włożyłam na siebie bawełnianą. W południe jeszcze szłam jako tako. Wiadomo, podniecenie, że coś się robi w celu uniknięcia zarażenia innej osoby. Gorzej było wieczorem.

Wtedy wyszłam z Kulką na dłuższej. Najpierw zauważyłam, że maseczka ogranicza mi pole widzenia. Odsłoniłam część nosa, zakrywają jedynie dziurki. W połowie trasy poczułam, że chyba brakuje mi powietrza. Odchyliłam usta. Ów, jak dobrze, nareszcie mam tlen! Niestety, ujrzałam ludzi. Szybko naciągnęłam maseczkę na prawie całą twarz.

I tak też ten spacer przebiegał. Raz maska na pełną gębę, raz na brodę. Czułam się zniewolona i zrozumiałam, dlaczego mój pies nie chce nosić kagańca.

Ale mówi się trudno. Takie czasy, że twarz zasłonić trzeba. Mały, wredny hitlerek wymusza na nas różne rzeczy. Mam nadzieję, że się przyzwyczają.

Wczoraj właściwie nic się szczególnego w moim życiu nie działo. W sieci też nie. Wszędzie były fotki nowego członka rządu, ale o urodzie innych osób wypowiadać się nie będę. Sama piękna nie jestem. Sejm znowu odrzucił poprawki Senatu. Nic nowego. Robi to nałogowo. Pogoda się poprawiła. Ale deszczu nie ma. W sumie – dzień jak co dzień na kwarantannie.

Dlatego dziś będzie trochę o wirusach, bakteriach i zarazkach. Słowem o tym, co choroby nam przenosi, roznosi i co jest z nami zawsze i wszędzie.

Bo nie da się ukryć. Małe, niewidoczne gołym okiem pasożyty (terminologia uproszczona ze względu na humanistyczne wykształcenie autorki tekstu) są z nami. Mają je psy, koty, latają w powietrzu, są w pokarmach. Niektóre są dobre, inne złe. Wszystko zależy między innymi od położenia geograficznego.

Kiedy Kolumb odkrył Amerykę, a następnie została ona zasiedlona przez Europejczyków, okazało się, że ludność tubylcza, niesłusznie nazwana Indianami, umierała z powodu zarazków przywiezionych przez najeźdźców. Oczywiście ci nie chorowali, bo jak później udowodniła nauka, mieli w sobie przeciwciała, których to tubylcy nie posiadali.

Z późniejszymi chorobami poradziły sobie szczepionki. I radzą sobie całkiem nieźle dzisiaj.

Z ziemskimi chorobami zupełnie nie poradzili sobie Marsjanie w książce Wellsa „Wojna światów”. Tym razem mamy przykład pozytywnego działania maleństw chorobotwórczych. Kto nie czytał, nich zatem się dowie.

Kiedy wszystkie sposoby unicestwienia wrogo nastawionych do Ziemi przybyszów z kosmosu zawodzą, okazuje się, że można ich unicestwić ziemską bakterią. Potężni mieszkańcy Marsa padają jak muchy po muchozolu po zetknięciu z

czynnikiem pochodzącym z naszej planety.

I kolejny przykład. „Dzień niepodległości” amerykański film z gatunku s-f. Też wrogowie z kosmosu atakują Matkę Ziemię. Posiadają nie do przebicia osłonę swoich statków kosmicznych. Dwójka śmiałków Will Smith i Jeff Goldblum dociera do statku – matki wrogów i wszczepia mu wirusa. Oczywiście, że komputerowego, ale w końcu jesteśmy w XXI wieku i wirus może mieć różną lub nie mieć jej w ogóle. Osłona pada, dzielni piloci atakują, a najdzielniejszy rozwała cały system.

I jak na dzisiaj wystarczy.

Życie toczy się dalej. Trzeba się z urzędem skarbowym rozliczyć. Ten wirusów nie uwzględnia.

XXVII

18 kwietnia 2020 – W maseczce po piwo

film na dziś „Dzień świstaka”

Oczywiście, że noszę maseczkę. Wczoraj wypróbowałam taką z ręczników papierowych i zszywek biurowych. Zdecydowanie lepsza. Łatwiej oddychać. Koleżanka powiedziała mi, że jeśli mam kłopoty z oddychaniem to maseczki nie muszę nosić.

Dobrze powiedzieć... a jak ja udowodnię, że mam bezdech, gdy zaczepi mnie taki patrol inwigilacyjny? Padnę przed nimi i stracę przytomność? Karetka przyjedzie za trzy godziny. Wywiozą mnie do szpitala odległego o 100 km od Łomży, bo w tych bliżej już nie ma miejsc. Tam zarazę się małym, wrednym hitlerkiem i wrócę do jednoimiennego łomżyńskiego szpitala. Rodzina poddana zostanie kwarantannie, a pies trafi do schroniska, bo nie będzie miał kto go wyprowadzać.

Nie, odpuszczę sobie brak oddechu. Na dzień maseczka z ręcznika, na wieczór bawełniana. Noszona na brodzie jak nikogo nie będzie w pobliżu i zakładana w przypadku pojawienia się człowieka. Około 22.00 widok rzadki.

Właściwie zadzwoniłam do koleżanki, mieszkającej w stolicy, by zadać pytanie „I co tam u ciebie?”. Odpowiedziała, że bardzo dobrze.

Nareszcie się wysypia. Pracuje zdalnie. Wstaje za dziesiątą ósmą. Włącza latopa i melduje się na stanowisku pracy. Po czym idzie do kuchni, szykuje śniadanie, porozmawia z rodziną, też pracującą zdalnie, która też już w pracy się zameldowała. Wszyscy się spokojnie najedzą, wymienią poglądy, opowiedzą sny i idą do swych urzędów popracować.

Normalnie rodzina wstawała o szóstej. Łykała w biegu byle co, narażając się na wrzody żołądka. Jeden drugiego poganiał i przeganiał w łazience. Do tego każdy musiał dotrzeć do miejsca pracy przebijając się przez warszawskie korki. Nawet rowerem łatwo nie było. Do tego koleżanka ma ogród, taras i balkon. Życie, nie umierać.

Oczywiście wychodząc z domu, wszyscy są zamaskowani, bo policja czuwa.

Akurat przedstawiciele tej instytucji w stolicy jest sporo. Nawet mają jakiś niebezpieczny sprzęt. To znaczy, mają sprzęt do zabezpieczenia bezpieczeństwa, sorry, zapewnienia bezpieczeństwa. Taki sprzęt będzie służył obronie ludu, gdy lud się zbuntuje.... czy coś w tym rodzaju.... W sumie koleżanka nie powiedział co konkretnie stoi w stolicy, więc nie będę was tu w błąd wprowadzać.

W każdym razie tej koleżance jest dobrze.

Druga siedzi w mieszkaniu i wygląda czasami przez okno. Niestety, jej okna wychodzą na mało uczęszczaną ulicę i kawałek podwórka z placem zabaw, który jak wiadomo jest obecnie zamknięty. Czasami przemknie jakiś człowiek. Teraz w masce oczywiście. Znajoma w wąskim zakresie korzysta z internetu. Ogląda głównie TVPis. Czuje się jak ekspert polityczny. Uważa, że wszyscy politycy są tacy sami, a wuc miał prawo jechać na cmentarz.

Kolejna ma problem ze zdrowiem kota. Leczy go już kilka tygodni, bez rezultatu. Wszystkie inne sprawy ma gdzieś.

Zaczęłam się zastanawiać nad swoim życiem. Dobrze mi, czy źle?

Niestety, dobrze.

Przyzwyczałam się do siedzenia w domu z trzykrotnym wyjściem na spacer z psem.

Przyzwyczałam się do wysyłania listy zakupów i dostarczania ich przez syna przed sam nos.

Przyzwyczałam się do ustalonego przez siebie, na początku narodowej kwarantanny, rozkładu dnia.

Przyzwyczałam się do prowadzenia rozmów z własnym psem. Niedługo pies zapewne mi odpowie.

Przyzwyczałam się do powtórek w telewizjach.

Odzwyczałam się od ludzi.

Widzę ich z balkonu, stojących w przepisowych kolejkach.

Rozmawiam z nimi przez telefon.

Wymieniam poglądy poprzez internet.

Nie kochani, to nie jest dobre....

Muszę wrócić do normalności....

Muszę się zmusić do wyjścia do jakiegoś sklepu....

Może nastąpi to dziś?

Może na początek warto skoczyć do sklepu po piwo w normalnej butelce?

Wypić jak normalny człowiek... zamiast przelewać z puszki do szklanki?

XXXVIII

19 kwietnia 2020 - Wielki nam dzień nastanie (jutro)

film na dziś „Ptaki”

Kochani, od jutra niezwykle zjawisko. Nazwano je odmrażaniem gospodarki. Stopniowym. Pierwszy etap będzie. Odmrażanie zacznie się od otwarcia parków i lasów (o cmentarzach nie wspomniano...). Znikną druty kolczaste, znikną szlabany, zasieki i barykady. Las stanie otworem dla spragnionego powietrza ludu.

Lud wejdzie do parku!

Przypomni sobie, jak wygląda drzewo, co się zowie brzoza. Ujrzy sosnę i świerk. Dotknie kory i budzących się do życia liści. Odetchnie pełną piersią i przeponą.

No i co z tego, że w maseczce? Odmrażanie jest przeca stopniowe.

Dlaczego najpierw odmraża się, znaczy otwiera lasy? Proste. Każda gospodyni domowa wie. Jeśli chcemy odmrozić lodówkę, to wyciągamy z niej wszystko. Żeby odmrozić gospodarkę, trzeba lud do lasów wygonić.

Nie ma obawy. Lud partyzantki nie założy. Lud się zachłyśnie świeżym powietrzem i będzie za nie niezwykle wdzięczny tym, co go do lasu wpuszczą.

A ów ma w tym swój cel.

W takich lasach bowiem ustawi punkty odbioru kart do głosowania. Wiadomego głosowania. Jeśli człek do lasu 10 maja trafi, na pewno do takiej dziupli głos wrzuci. Oczywiście przy okazji wdechu i wydechu.

Za komisje wyborcze będą robić ptaszki. Będą też sarenki i dziki. Ale to w dalszych rejonach lasów, gdzie będą zapuszczać się myśliwi wraz z rodzinami. Ci połączą przyjemne z pożytecznym i ustrzelą kilku członków komisji w ramach edukacji swoich dzieci.

Jasne wszystko? Jasne!

Jeszcze tylko kilka haseł trzeba wymyślić i lud będzie zachwycony działaniami swych władców. Jako że hasła nie przychodzą mi do głowy, przejdźmy dalej do

odmrażania.

W sklepach będzie nas więcej. Dlaczego akurat to? Otóż kolejki, nawet człowiek od człowieka oddalony o dwa metry, nie robiły dobrego wrażenia. Takim antykom jak ja przypominały czasy PRL-u. Wystarczająco dużo kojarzy nam się ostatnio z tamtymi latami, postanowiono zatem przynajmniej jeden element zlikwidować. Ten najbardziej rzucający się w oczy.

I na tym koniec etapu pierwszego. Drugi zostanie zapewne rozpoczęty po 10 maja. Do tego czasu las i sklep musi ludowi wystarczyć.

W drugim etapie nastąpi „otwarcie hoteli i innych miejsc noclegowych”. Oznacza to, że będziemy mogli podróżować. Zupełnie niewskazane to jest przed wyborami. Przemieszczający się lud może nie zagłosować ze względu na zmianę miejsca zamieszkania. Dziękuję z komisji wyborczej z nieswojego lasu ma prawo go nie znać.

A zresztą czy taki, co się przenieść, będzie myślał o wyborach? Będzie się cieszył z przemieszczenia i tyle!

W drugim etapie przewidziano również otwarcie „niektórych instytucji kultury: bibliotek, muzeów i galerii sztuki”.

Oczywiście, że po 10 maja. Według mnie oczywiście. Ja bym tak zrobiła rzecz jasna, gdybym była na miejscu odmrażających.

Otwarcie tych instytucji obudzi bowiem inteligencję. A dla tej grupy książka, obraz czy kawałek antycznego dzbanka jest ważniejszy niż las. Zamiast do lasu w niedzielę inteligent pójdzie do galerii oglądać obrazy. Do muzeum podziwiać stare monety. Spragniony nowych powieści zacznie czytać na balkonie. I co? Frekwencja wyborcza się rypnie. Wróbelki, kukułki, nornice i liski będą nadaremnie oczekiwały na wyborcę....

Zbyt wczesne dopuszczenie do uciech intelektualnych może również spowodować, że ludzie zaczną myśleć. A myślenie w obecnych czasach jest najmniej pożądane.

Zatem jutro ruszamy do lasu, do parku, na łąkę.... zaraz.... o łące nie było mowy... w każdym razie od jutra nasze psy mogą swobodnie srać na trawnikach. Do tej pory robiły to nielegalnie, bo przecież wszystkie tereny zielone były zamknięte.

Do zobaczenia pod krzakiem!

XXXIX

20 kwietnia 2020 – Placebo

film na dziś „Żądło”

Dziś będzie raczej nudno. Wszystko dlatego, że wczoraj była niedziela. A niedziela na prowincji zawsze jest nudna. Nie bierzmy pod uwagę imprez typu odpust czy festyn, bo te są w wyznaczonych miejscach i nudy więcej z ulic prowincji nie likwidują. Jeśli dodamy do tego stan kwarantanny, to możecie sobie wyobrazić

spokój, ciszę i bezruch

Wczorajszy spacer z psem poświęciłam właśnie wędrowce wzdłuż jednej z najbardziej ruchliwych ulic. Ma cztery pasy, dwa w jedną, dwa w drugą stronę. Tędy wiedzie najliczniejsza linia komunikacji miejskiej (w normalny dzień autobus co 10 minut). Tutaj też, w niewielkiej odległości od jezdni znajduje się słynny na całą Polskę szpital, obecnie jednoimienny. Znaczą się koronawirusowy.

Poszłam więc chodnikiem wzdłuż szpitala. Na trasie do mini galerii handlowej nie spotkałam nikogo. Minęłam natomiast dwa skrzyżowania z sygnalizacją świetlną. Po co ona działa? W jakim celu mruga trzema kolorami? Gdzie sens i logika? Samochodów jak na lekarstwo...

Dobra, nie będę się czepiać. W telewizji policjant powiedział, że kwarantanna kwarantanna, ruch na drogach mniejszy, ale przepisów przestrzegać trzeba. Jasne, jeszcze się odzwyczajają od świateł i co potem będzie, jak już normalnie będzie? Minęły mnie również dwa autobusy miejskie wiozące powietrze.

Potem skręciłam w kolejną dużą ulicę. Z jednej strony kościół, z drugiej galeria handlowa i kolejny kościół. Jak to w Łomży bywa. Gdzie się nie obrócisz, tam kościół. Katolicki rzecz jasna.

Tym razem spotkałam cztery osoby bez psa i trzy z psami. Według przepisów miały być zamaskowane.

Część była. Część nie. Miała pod szyją jakieś apaszki, szaliczki, golfiki. Podczas kiedy ja brnęłam przez ulice miasta w maseczce wielorazowej bawełnianej, ludzi mijając mnie, wsadzali brodę w te „chusteczki”, że niby zasłaniają twarz. Słowem, żadnego zabezpieczenia.

Poczytałam również maseczkowe obserwacje z balkonu. Wszak pod sobą mam sklepy. Było podobnie. Maseczka pod brodą, w ustach papieros lub butelka z napojem, dają głowę uciąć, że piwo lub tzw. „małpka”. Pod blok wróciła bowiem „ławeczka”. Jeszcze nie w pełnym składzie, ale już część trwa na posterunku. Inni z owymi szalikami i golfikami na szyi zakrywali twarz wchodząc do sklepu.

Słowem, odnoszę wrażenie, iż zezwolenie na zakrywanie twarzy byle czym to oczywiste działanie psychologiczne. Niech naród ma poczucie bezpieczeństwa. Placebo też działa.

Oczywiście melduję, że na prowincji policji ani straży miejskiej nie widać i nie ma komu karać za brak nikabu (hi hi... nie wiecie co to? To sobie wygooglujcie!).

Wieczorem trasę powtórzyłam. Statystycznie było to samo. Taka sama ilość ludzi, psów i autobusów z powietrzem. Zasłonięte twarze – podobnie.

Tym razem skupiłam się na szpitalu. W dzień – wiadomo, spokój, cisza. Po zmroku szpital więcej mówi o sobie.

Trasą wzdłuż szpitala chodzę około dwudziestej pierwszej od 10 lat, bo tyle ma moja sunia. Zawsze o tej porze włączone były światła w praktycznie wszystkich pokojach. Położony w szerym polu budynek rozjaśniał teren wokół siebie. Czasami przechodziłam przez ulicę i spacerowałam po alejkach prowadzących do szpitala.

Teraz strach się bać. Nie, nie małego, wrednego hitlerka. Ciemności. Szpital tonie w ciemności. W czas wielkiej zarazy, pandemii, epidemii i placebo w postaci

maseczek jednoimienny szpital jest wygaszony. Zwłaszcza w części, gdzie znajdują się sale pacjentów.

O tym, gdzie są, wiem z autopsji. Wszak cztery lata temu leżałam w jednej z sal na oddziale wewnętrznym. Od początku narodowej kwarantanny przyglądałam się oknom właśnie na tym oddziale. Czasami widać światło w trzech oknach, z czego dwa to dyżurka pielęgniarek. Wczoraj nawet tu nie dojrzałam śladu elektryczności.

Wiem, że sale pacjentów znajdują się jeszcze po drugiej stronie księżycy, znaczy się korytarza. Czyżby wszystkich pacjentów położono właśnie po tej drugiej? I tak na każdym oddziale? Inne wczoraj też straszły mrokiem i czernią.

Celowe zaciemnienie? Z dzieciństwa pamiętam, że rodzice zaciemniali pokój, kiedy chorowałam na odrę...

Wszyscy już spali?

Po powrocie do domu zrobiłam rzecz karygodną w czas zarazy. Wzięłam prysznic i otworzyłam puszkę piwa. Postanowiłam, że następnego dnia pójdę po takie w butelce.

XL

21 kwietnia 2020 - Wirus ukierunkowany

film na dziś „Chłopcy” (1973) w/g Grochowiaka

Lud gromadniej wyszedł z domu. Na wczorajszych spacerach z psem przypomniałam sobie, jak wygląda nastolatek przed „osiemnastką”. Taki nastolatek nosi maseczkę pod brodą. Z kolegami idzie w przepisowej odległości, rzucając co chwilę „Ku..., na ch... te maseczki”.

Na spacer po osiedlu wyruszyli również seniorzy bez psów. Ci oczywiście w maseczkach całkowitych, które zsuwają na brodę podczas odpoczynku na ławce. Mają jedyne wytłumaczenie „W tym świństwie nie da się normalnie oddychać”. Prawda. Nie da się.

Na trasie spotkałam koleżanki. Jedną poznałam po kolorze włosów. Inny niż poprzednio, ale równie ekstrawagancki. Drugiej nie poznałam, ale ona poznała mnie. Wszystkie trzy wywodzimy się z pokolenia, które dzieciństwo przeżyły na podwórkach. Były to czasy prymitywnego uodparniania organizmu na przeciwności losu.

Na przykład rano wystawiano aluminiową wannę na podwórko, wlewano do niej wodę. Ta się nagrzewała i po południu dzieciarnia wskakiwała do środka. W ubraniach oczywiście. Potem bawiliśmy się w „ganiego” i ubrania wysychały. Szanujący ubrania zdejmowali je i moczyli tyłek w samych majtkach.

Katar nie był przeszkodą w wyjściu na zewnątrz mieszkania. Chusteczek higienicznych nie było. Były bawełniane. Mama zawsze sprawdzała, czy do szkoły

bierzemy czystą. Na podwórku nikt o niej nie myślał. Dawaliśmy radę.

Przewracaliśmy się na ziemi, obcieraliśmy kolana do krwi. Na pewno tą drogą dostawały się do naszego organizmu bakterie, wirusy i inne zarazy. Mama polewała ranę wodą utlenioną i wracało się do zabawy.

W domu była tylko zimna woda. Mycie rąk często polegało na ich przepłukaniu pod kranem. Z ogródka wyrywaliśmy marchewkę lub rzodkiewkę, wycieraliśmy o bluzkę i jedliśmy.

Zimą tarzaliśmy się w śniegu. Jeździliśmy na sankach.

To za naszych czasów powstała piosenka „W czasie deszczu dzieci się nudzą”.... Oj nudziliśmy się zamknięci w mieszkaniach....

Po co ja to wszystko piszę? Po to, żeby pokazać, że jesteśmy pokoleniem silnym i odpornym. A ci, co przed nami, mówię o takich 75+, są jeszcze silniejsi. I takich właśnie ludzi trudno się pozbyć. Wprost przeciwnie – trzeba ich leczyć, bo chorują. Moje pokolenie też zaczyna chorować. Normalna kolej rzeczy. Tyle tylko, że chorować możemy długo, oj długo ze względu na czasy, w których się uodpornialiśmy.

Oto wczoraj jedna ze spotkanych przeze mnie koleżanek wysunęła kolejną teorię spiskową.

Wirus ukierunkowany.

To, że mały, wredny hitlerek nie wymknął się z laboratorium przypadkowo, spiskowcy wiedzą od dawna. Kogo w pierwszej kolejności atakuje? Osoby starsze. Te, które nękanie są przez przeróżne choroby. Niestety, na te choroby wynaleziono już lekarstwa. Taka cukrzyca na przykład. Jeśli człek odpowiednio się odżywia, łyka tabletki, rusza się, to przeżyje. Wiem to z własnego przykładu. Na cukrzycę zapewne nie umrę.

Młodzi nie chcą już mieć rodzin wielodzietnych. Panuje moda na singielstwo. Świat się po prostu starzeje. A starość kosztuje. Trzeba budować domy opieki. Inwestować w coraz droższe lekarstwa, bo eutanazja się nie przyjęła. Problemem są wypłaty emerytur. To wielkie obciążenie budżetów państwowych. I prywatnych ubezpieczycieli też. Bo tak w ogóle to stary człowiek jest poważnym problemem. I tu nie ma się z czego śmiać. Tu trzeba płakać. Z jednej strony – akcja troski o seniorów, z drugiej lament, ile to kosztuje. Nie każde dziecko stać na pełną, profesjonalną opiekę nad ojcem czy dziadkiem.

Trzeba było ten łańcuch przerwać. Wynaleziono? Wyhodowano? Odszukano? Wirusa, który atakuje starszych, schorowanych i wiecznie żyjących...

Koleżanka poparła swą teorię spiskową wydarzeniami z polskich domów pomocy społecznej. Ponoć pomyślano w naszym kraju o wszystkim i wszystkich. Seniorom dostarczono bezpłatne maseczki. Tym, co są w swych domach.

O tych, co zamieszkują DPS - y zupełnie zapomniano.

Dziś umierają.

Zwolnią się miejsca.

A kolejka do takich domów długa....

XLI

22 kwietnia 2020 - Zefirek wolności

film i książka na dziś „Wojna i pokój”

Przyznaję się bez bicia. Dziś sprawdzałam, jak się po rzymsku zapisuje się „41”. Nie przypuszczałam, że napiszę aż tyle felietonów. Znaczący się tyle dni siedzę w domu.... zamknięta.

Dobra, bez przesady. Nie tak całkowicie zamknięta. Mam psa. A to pozwala mi w każdym etapie narodowej kwarantanny wychodzić z domu. Dziś już wiem, że taki pies mi życie uratował. Podczas kiedy inni kisili się we własnych M, ja spacerowałam bezkarnie po osiedlowych terenach rekreacyjnych. Było przyjemnie, oddychało się lepiej niż teraz, bo bez maseczki.

Ale spoko, niedługo i te maseczki zdejmujemy. Zezwolenie na zakrywanie twarzy byle czym to oczywiście klasyczne placebo. Czuj się człowieku bezpiecznie. I tyle. Maski, która mogłaby nas ochronić oraz innych przed nami kosztuje ok. 100 zł. Ręka do góry, kto taką ma...

Mamy zatem za sobą pierwsze dwa dni tzw. wolności polegającej na możliwości wyjścia do parku i lasu. W wyniku tego od razu się na ulicach zaludniło. Dlaczego na ulicach? No przecież do lasu jakoś trzeba dojść, nie każdy ma samochód.

Dobra, znowu przesadziłam... nie każdy od razu do lasy poleciał. Las w mieście z reguły daleko. Trzeba najpierw na jakąś wieś dojechać. Miejskie parki, takie z drzewami i ławkami, też daleko. Przynajmniej w mojej okolicy.

My mamy tzw. skate park. Drzewa oczywiście, że rosną. Pod kontrolą osiedlowych dozorców. Przycinają je, obcinają, wycinają, jeśli te usychają. Są też trawniki. I masa miejsc do rekreacji czyli: ściana do tenisa, sprzęt do napowietrznego uprawiania sportu, stoliki z planszami do gry w szachy, miasteczko rowerowe, mini golf i parę placów zabaw. Żadne z tych miejsc nie zostało obwiązane białą-czerwoną taśmą na znak zamknięcia.

Teraz lud wyległ na powietrze i owe miejsca zaludnił.

Przedwczoraj jedynie spacerował. Wczoraj zaczął korzystać ze sprzętu. Jakiś senior nieśmiało usiadł na jednym z urządzeń plenerowej siłowni. Babcia pozwoliła wnuczce skorzystać ze zjeżdżalni.

Nieśmiało rozpoczęło się też życie nocne skate parku. Wczoraj dwie zamaskowane (pod brodą oczywiście) dziewczyny, przestrzegają przepisowej

odległości, sęczyły piwo pod daszkiem. Place zabaw opanowane zostały przez wiosennych zakochanych. Niektórzy nawet rozmawiali, pomiędzy pocałunkami rzecz jasna. Zapełnił się street workout, takie miejsce z różnego typu drążkami, służące do wykonywania ćwiczeń, których podstawą jest wykorzystanie ciężaru własnego ciała. Oczywiście, że po zmroku. Tu nie da się zachować odległości.

Na szkolne boisko wjechała po raz pierwszy w tym roku kosiarka. Próbowano również kosić osiedlowe trawniki. Niestety, susza spowodowała, że nie ma czego kosić.

Ja również poczyniłam postępy. Wysłałam sama, bez psa! Najpierw do apteki. Tłumów nie było. Ale oczekiwanie na zakupy trochę trwało. Panie farmaceutki, stojące za pleksą, pełniły bowiem funkcje lekarza. Doradzały, polecały, informowały.... No tak, w sumie muszą wiedzieć, co sprzedają. Obecnie kontakt z lekarzem, nawet pierwszego kontakt, jest utrudniony, wszystko zatem spada na apteki.

Zupełnie kolejek nie było w sklepie spożywczym. I to już poważny krok do normalności. Przez poprzednie dni obserwowałam ludzi przez balkon. Pokornie stali w długiej kolejce do trzech sklepów spożywczych. Zniknęła potrzeba zakupów? Obkupili się? Nie, zwiększyła się ilość osób mogących robić równocześnie zakupy w dyskontach. Pewnie tam są. Ale nie sprawdzałam. Samodzielnie kupiłam dwa piwa w butelce! Pierwszy mój samodzielny zakup w spożywczym po czterdziestu dniach zniewolenia!

Hura!

Uratowana!

Po powrocie ze spaceru z psem, usiadłam na balkonie, otworzyłam butelkę....

Pal lichy wybory, pal lichy mały, wredny hitlerek... Zefirek wolności o aromacie chmielu i drożdży zawiął mi w oczy....

XLII

23 kwietnia 2020 - Pełna para w sądach

film na dziś „Dwunastu gniewnych ludzi”

I tradycyjnie.... Kolejny dzień za nami.... I ludzi coraz więcej. Na ulicach, w sklepach i terenach, ongiś zielonych, teraz zieleniejących się. Bo susza. W sieci coraz więcej artykułów o braku wody. Mój kolega nawet z tego powodu się zdenerwował. Zarzucił dziennikarzom, znaczy się „pismakom”, że susza straszą ludzi, a już niedługo wymyślą powódź lub gradobicie. Stulecia oczywiście.

Cóż, dziennikarz zawsze szukał sensacji, czyli materiału do napisania, bo taka jego praca. Im gorszy, tym lepszy, bo większe zainteresowanie. Już o tym kiedyś

pisałam. Powtórzę – moje spokojne felietony nie wzbudzały zainteresowania. Te, z wyzywającym tytułem – a jakże! Widać ludzie wolą czytać o złych rzeczach, skoro one się lepiej sprzedają. A „pismak” to też zawód. Człęk po prostu na chleb zarabia.

Wczoraj na powietrzu było więcej osób z małymi dziećmi, a wieczorem ruszyli rowerzyści. Skończyło się moje bezkarne spacerowanie po ścieżce rowerowej. Idiotycznie zresztą oznaczonej. Ociera się o ławki. Ludzie na nich siedzący, widząc rower, muszą chować nogi pod ławkę. Inaczej, nie ma bata, rower po nogach przejedzie. Do tego ścieżka biegnie tuż przy trawniku. A jak wiadomo, pieski muszą na trawniku. Wystarczyłoby tylko trochę farby, by znak „rower” z jednej strony zamalować i namalować go z drugiej strony, gdzie rosną krzewy. Jak widać myślenie boli.

Tak więc wczoraj po skate parku zasuwali rowerzyści. I to ostro. Znaczy – szybko. Widać było, że siedzieli w zamknięciu przez czterdzieści dni.

Spotkałam dwie koleżanki. Jedna kupiła sobie sukienkę. Na lato. Bo zapewne zaraz będą upały, czyli nastanie pora sucha i tzw. ciuchy wiosenne nie będą już potrzebne.

Druga miała ciekawe wieści. Niedługo ruszą sądy! Nie, nie, nikt nigdy sądów rejonowych, okręgowych ani żadnych innych nie zamknął. Nawet jakieś sprawy się odbywały. Większość jednak została odwołana. Według jakiego klucza, znajoma nie wiedziała. Wczoraj dostała wezwanie na kolejną rozprawę o spadek. Ten jej się oczywiście należy, ale zgodnie z literą prawa, sąd musiał szukać innych spadkobierców. Teoretycznie byli lub są. Praktycznie nikt w rodzinie niczego o nich nie wie. Czy są, czy ich nie ma, koleżanka dowie się na rozprawie 14 maja.

I ma dylemat. Czy jechać do innego miasta na tę rozprawę, czy zgodzić się na wszystko, co sąd postanowi?

Pytam, czy suma warta jest poświęcenia zdrowia, a może nawet życia? Czy, jeśli zejdzie na małego, wrednego hitlerka, to jej rodzina po niej ów spadek dostanie? A jak się wyrok jeszcze nie uprawomocni?

Cóż, wartość sumy spadkowej ma wartość w zależności od człowieka. Dla kogoś 500+ to majątek, a ktoś taką sumę nosi w portfelu w przegródce z napisem „drobne”.

Sumy spadku oczywiście nie usłyszałam. Normalne.

Fakt, że sądy zaczynają pracę pełną parą, też jest całkiem normalny.

Niedługo mają być wybory. Jakiś sąd musi uznać te wybory za legalne i przeprowadzone zgodnie z prawem. Sąd musi więc działać. Narodowi trzeba pokazać, że postępuje „normalizacja” (to taki termin z okresu stanu wojennego w Polsce).

Aha, o uruchomieniu pełną parą sądów – cisza.

Kolejnym tematem poza wirusowym są oczywiście wybory. Nie będę o tym pisać. Wszyscy o tym piszą. Nic nowego nie wymyślę. Teorii spiskowych brak. Wszystko jest jasne.

Najbardziej boli mnie pożar w Biebrzańskim Parku Narodowym.... Ktoś celnie zauważył, że jeszcze niedawno płakaliśmy nad Australią... a teraz... mało uwagi

zwracamy na naszą, narodową tragedię. Użalaliśmy się nad koalą. Teraz mało kto wspomina bielika broniącego gniazda z jajami...

Temat biebrzańskiego parku schodzi na plan dalszy....

Smutno

XLIII

24 kwietnia 2020 – Pierwszy dzień wolności w cieniu teorii

film na dziś „Teoria spisku”

Tak, nadszedł. Wczoraj. Synowa zaprosiła mnie na ciasto i kawę. Ciasto było drożdżowe (takie jak robiła moja mama!). Szacun dla synowej i syna, który drożdże zdobył, znaczy się kupił. Wsuwając drożdżówkę i patrząc na rosnącego, też jak na drożdżach, wnuka, wspólnie zastanawialiśmy się, skąd owa kwarantanna popularność drożdży.

Żadnych konkretnych pomysłów. Tylko powtarzanie memów z sieci....

Do wnuka poszłam pieszo. Uznałam, że bezpieczniej i zdrowiej. Fruwający w powietrzu mały, wredny hitlerek ma mniejsze szanse opaść na mnie, niż gdybym siedziała w autobusie. Poza tym solidny spacer w okolice nieodwiedzane przeze mnie od ponad miesiąca, po prostu się mi należy.

Stwierdzam, że w okolicach prawie nic się nie zmieniło. Miasto jak stało, tak stoi. Nic nie wyburzono, znaczy się bombardowania nie było. Dokończono natomiast budowę ulicy przy domu wnuka. Nawet normalny parking powstał. Jeszcze tylko trzeba wykonać „nasadzenia”. Cokolwiek to nie znaczy i cokolwiek ktokolwiek nasadzać będzie.

Drogę powrotną też pokonałam pieszo. Słońce świeciło mocno w plecy i po raz pierwszy tego roku poczułam wiosnę. W postaci potu na plecach. Przyjrzałam się drzewom i krzewom. Niektóre wyglądają na uschnięte... Inne mają mało liści.... Przypomniła mi się płonąca Biebrza... Susza, susza....

Ludzi na ulicach sporo. Na moim skate parku młodzież już się nie ukrywa z uprawianiem sportu. Spotyka się przy drążkach i drabinkach, wymienia doświadczenia związane z treningiem. Dwóch młodzieńców ćwiczyło nawet boks. Autentycznie. Bez ściemy. Nie tłukli się. To był prawdziwy trening. Jeden ćwiczył prawe i lewe proste, wałąc drugiego w specjalne do treningu rękawice. Drugi udzielała fachowej instrukcji w stylu” „Nogi niżej. Teraz odskocz. Teraz doskocz”.

Skończyły się moje wieczorne, spokojne spacerki z psem.... Oj, skończyły... Kto wie, czy nie będę za nimi tęskniła....

Słowem – normalizacja postępuje. Brakuje mi jeszcze dzieci na placach zabaw.

Z pobudek egoistycznych rzecz jasna. Z wnukiem chciałabym porobić babki z piasku.

I nie da się uciec od tego tematu.... Wybory prezydenckie....

Są tacy, co mówią, że to temat zastępczy, wywołany w celu odwrócenia uwagi od możliwości zejścia na wirusa. Inni twierdzą, iż nie ma o czym gadać, wyborów być nie powinno. Ich przeciwnicy, że powinny. Ktoś krzyczy o płonącej Biebrzy i ten temat uważa za najważniejszy. Jak by nie patrzył, du... zawsze z tyłu, od tematyki politycznej człowieku nie uciekniesz.
Z jednej strony słyszymy o zagrożeniu życia.

Mamy zostać w domach.

Mamy tracić oddech w maseczkach.

Mamy wkładać rękawiczki przy wejściu do sklepu.

Mamy unikać bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem.

Dzieci nie chodzą do szkół.

Zakłady pracy pozamykane.

Fryzjery i restauratorzy w rozsypce.

Stop. Wystarczy.

Z drugiej strony przeprowadzenie wyborów tzw. korespondencyjnych nikomu nie zagraża.

Zostaną udostępnione nasze dane osobowe, o których utajnienie walczone przez lata (tzw. RODO).

Listonosz poda nam wysterylizowaną kopertę z przesławnymi kartami. (W jaki sposób sterylizuje się papier? Przez gotowanie czy przez zanurzenie w alkoholu 60%? Preferuję tę drugą wersję).

Poda oczywiście z odległości dwóch i pół metra.

Będziemy musieli wyjść z domu, by te karty gdzieś dostarczyć...

Przepraszam, jak się to ma do hasła „Zostań w domu”?

Brak w tym wszystkim sensu i logiki. Chyba że....

No właśnie, chyba że wcale nie jest tak niebezpiecznie, jak się to nam wmawia... Udowodnił nam to dzień 10 kwietnia, kiedy najważniejsi wyszli z domu, by składać wieńce. I nie chorują do dziś. Właśnie minęły dwa tygodnie wylęgu choroby... Tamtego dnia napisałam, że jeśli nikt z nich się nie rozchoruje, zacznę wierzyć w teorie spiskowe....

Wczoraj przeprowadziłam kilka rozmów telefonicznych ze znajomymi z różnych stron Polski. Rozmawiałam z nimi na początku kwarantanny. Byli wówczas bardziej przerażeni niż ja. Teraz też zaczynają wierzyć w teorie spiskowe...

XLIV

25 kwietnia 2020 – Ciężki żywot emeryta

film na dziś „Znachor”

Właściwie gdybym chciała napisać jakiś chwytliwy felieton, by był czytany przez setki, tysiące ludzi to pewnie powinien być o polityce, technologii 5G lub kościele.

Pierwszego tematu unikam jak niekontrolowanego ognia. Wszyscy o tym piszą i nie ma jak się przebić.

Na temat nowoczesnych technologii się nie znam. A kościół w czas narodowej kwarantanny zamilkł. Czasami pojawiają się jakieś memy, czasami jakiś ważny biskup powie coś mniej ważnego. Ale w zasadzie kościół milczy. A szkoda, mógłby tak wyciągnąć rękę do narodu. I to nie z tacą...

W każdym razie w czasach postępującej normalizacji trudno o dobry temat poza prezentowanymi powyżej. Dlatego będzie o emerytach. A konkretnie o ludziach 60+.

Udowodniono niedawno naukowo, że wskazany przeze mnie wiek to obecnie już nie wiek senioralny. Teraz senior zaczyna się od 65+. Póki co, oprócz godzin w sklepie dla seniorów, nie zmieniono innych postanowień i nadal mogę korzystać z wielu ulg. W takim pociągu na przykład.

I niech nikt nie waży się zmieniać. Jesienią chcę jechać nad morze.

Emerytowi w zasadzie powinno być dobrze. Jeśli jego dzieci usamodzielnili się, to mieszka on sam lub z osobą towarzyszącą w swoim M. Ma w nim praktycznie wszystko, co mu do życia potrzebne. Sprzęt domowy wymienia jedynie wtedy, gdy mu się takie krzesło rozleci i nie można go naprawić. Bo obecny emeryt pochodzi jeszcze z pokolenia, które naprawiało.

W porządku, zgadzam się z waszymi sugestiami – ta stara lodówka jeszcze da się naprawić. Ta z dzisiejszych czasów już nie, bo koszt jej naprawy przewyższy

koszt nowej.

Jeśli emeryt pracował i budował najpierw taką PRL, potem RP to zawsze jakąś emeryturę ma. Na luksusy go nie stać, ale na przeżycie jest. Przebywając w takiej kwarantannie jak obecnie, emeryt powinien znacznie mniej wydawać. A do tego powinien lepiej się psychicznie czuć.

Nie kuszą go bowiem sklepy ofertami promocji. Nie kusi widok szynki jak za Gierka. Nie ma w skrzynce reklam oferujących odmłodzenie po zjedzeniu pierogów ruskich produkcji chińskiej. Słowem, emeryt jest odcięty od wszelkich pokus, na które go nie stać. Rano je sobie zupkę mleczną na chudym mleku. Na obiad pożywną zupkę zwaną ziemniaczaną. A na kolację kromkę chleba z twarogiem, chudym rzecz jasna. I żyje.

Oczywiście wszystko to jest jasne i proste pod warunkiem, że emeryt jest zdrowy. To znaczy, niecałkowicie zdrowy. Bo każdy 60+ jest chory. Jeśli na nic się nie leczy, znaczy się niedługo zejdzie, bo ukryta w nim choroba powali go w jednej chwili.

Taka znajoma emerytka Zofia leczy się już od ponad dwudziestu lat. Jest nieustająco chora, ledwo chodzi, ale jakoś żaden wirus jej nie chwyta. Nawet sezonowej grypy nie przechodzi. Żyje bardzo skromnie i jest chodzącym dowodem na to, że do życia człowiekowi żaden „Ballantines” nie jest potrzebny. Teraz też ma się bardzo dobrze.

(Choroba, dlaczego po raz pierwszy po wyjściu z domu kupiłam cały litr tego napoju życia?)

Emeryt na kwarantannie powinien mieć się zatem dobrze. Są emeryci, co szyją maseczki. Są tacy, co nadrabiają zaległości książkowe. Są tacy, co siedzą nałogowo przy telewizorze.

Ich postawa wobec spraw bieżących zależy od tego, przy jakim programie telewizyjnym siedzą.

Zofia siedzi przy TVP. Nikt z opozycji jej nie wytłumaczy, że dla psychicznej równowagi powinna oglądać również TVN. Zofia ma się za tradycjonalistkę, jej rodzice oglądali tylko TVP i ona też ogląda. Tłumaczenie, że za czasów rodziców była tylko TVP, nic nie daje. Sytuacja może być również odwrotna. Emeryt tkwi tylko w TVN, od czasu do czasu wrzuca Polsat. Też brak obiektywizmu. A przede wszystkim brak argumentów w dyskusji z opozycją z TVP.

No tak wasz głos w mej głowie już się odzywa. Uważacie, że współczesny emeryt ogląda tylko wiadomą telewizję wiadomego ojca... I tu was zaskoczę. W moim otoczeniu 60+, nikt nie ogląda. Podejrzewam, że średnia wieku wiadomych mediów jest grubo powyżej 65+... Dzisiejszy młody emeryt słucha muzyki rockowej, bo na takiej się wychował. Ogląda filmy fantasy. Chodzi na plenerową siłownię. A dla równowagi – bywa w filharmonii i płacze nad losem Marysi ze „Znachora”.

I nie wie, czy weźmie udział w nadchodzących wyborach.

XLV

26 kwietnia 2020 – Sztuka dla sztuki

film na dziś „Skrzydlate świnie”

Wczorajszy dzień poświęciłam na wiosenne porządki w ciuchach. To znaczy ciężkie, grube swetry, nieco chudsze dzinsy i w miarę lekkie bluzki zamknęłam za pomocą odkurzacza w workach. Z nich wcześniej wyjęłam przewiewne sweterki, cienkie „rybaczki” i bluzeczki typu „mgiełka”. Znaczą się jesienno-zimowe zajęły miejsce ciuchów wiosenno-letnich i odwrotnie.

Okazało się, że przez pół roku ani nie przytyłam, ani nie schudłam. Wszystko pasowało i nic nie wrzuciłam do kontenera z napisem „Pomoc dla ubogich z pis”.

Potem wysłuchałam dwóch płyt, winylowych oczywiście, Pink Floydów. „The Wall” to wydanie dwupłytowe, więc w sumie płyt było sztuk trzy. Obejrzałam „Ziemię obiecaną”. Z kasety VHS nagranej własnoręcznie jeszcze przed tym, jak Wajda, też własnoręcznie, pociął taśmę i usunął najlepsze kawałki z Kaliną Jędrusik w pociągu. Jak młodzi nie wiedzą, o co biega, niech sobie poszukają. Mają internet od tego.

Wieczorem skupiłam się na przygodach Jamesa Bonda. Musiałam na ten czas przeprosić TVP1, bo tam był film. Szybko sobie to wybaczyłam, bo akurat „Skyfall” z Danielem Craigiem lubię, chociaż za samym Danielem nie przepadam.

W każdym razie owe liczne zajęcia na kwarantannie nie pozwoliło mi skupić się na bieżących wiadomościach. Usłyszałam coś o odmrożeniu sportu i uruchomieniu „Orlików”. Nie odmrozili? Przechodziłam niedawno obok jednego i lodowiska już tam nie było... Usłyszałam, że ruszyć ma piłka nożna i żużel. Znaczą się sport zawodowy. Mecze ligowe będą.

Bez kibiców.

I jako kibic, niektórzy mówią nawet, że kibiol, mam sporo do powiedzenia na ten temat.

Jeszcze nie tak dawno zawodnicy krzyczeli do kibiców „Gramy dla was!”. Modne było twierdzenie „Mecz dla kibiców, nie dla sędziów!” Kibice stanowili właściwie sens sportowego widowiska. Tak jak widzowie w teatrze lub w kinie. Spektakl robi się dla widzów. Film kręci się też dla nich.

Ja może piszę częściowo w celach terapeutycznych (żeby nie zidiociec na kwarantannie, rzecz jasna), ale chcę również, by ludzie mnie czytali. Nawet uznając, że to, co piszę jest idiotyczne.

Ale mecz bez kibiców? I to nie za karę?

Oczywiście, że znalazłam odpowiedź na zagadnienie. W świecie sztuki.

Oto hasło „sztuka dla sztuki” (fr. l'art pour l'art), czyli sztuka jest celem sama w sobie. Poeta pisze dla siebie, malarz maluje dla siebie. Dzieło jest dziełem samo w sobie. Po raz pierwszy słynnego hasła użył w 1818 w swojej książce „O prawdzie, o dobru i o pięknie” Victor Cousin. „Hasło było wyrazem sprzeciwu wobec utylitaryzmu w sztuce, spełnianiu przez nią innych, oprócz estetycznych funkcji. Dzieło miało być doskonałe w swej formie, bez przypisywania nadmiernego wydzźwięku, np. edukacyjnego czy politycznego. Koncepcja ta przewija się w poglądach wielu pisarzy i filozofów”. Hasło propagowane było przez niektórych twórców polskiego i europejskiego modernizmu, znaczy się na przełomie XIX/XX wieku, bardziej w stronę tego pierwszego.

Tłumacząc z polskiego na nasze, moje pisanie ma być ładne, ale wcale nie musi pełnić funkcji ideowej. Może być również brzydkie, jak się komuś nie podoba, ale nie musi pełnić funkcji poznawczej.

Czy zastanawialiście się, po co w domu są takie kwiaty w wazonie?

Sens umieszczania paprotki i aloesu w doniczkach jest wiadomy. Ten oczyszcza powietrze, tamten kwiat leczy.

A taki tulipan?

A taki goździk?

Nic, nul, żadnego pożytku.

A jednak jest.

Bo ładny. Taka sztuka dla sztuki.

Czy teraz piłka nożna i żużel będzie czymś takim? Kopiemy i jeździmy wokół stadionu dla samej idei kopania lub jazdy?
(Szczerze mówić nie dosłyszałam, czy zawody będą odbywały się równocześnie? I tu stadion, i tu stadion....)

Czekam więc z utęsknieniem na pierwszy mecz bez publiczności. Oczami wyobraźni widzę kibiców stojących pod stadionem w przepisowej odległości od siebie. Tak jak podczas protestów bodajże w Izraelu. Kibice stoją i też krzyczą. Na przykład „Sędzia wuj!” Bo sędzia zawsze jest ...ujem.

Bo kibic meczu nie odpuści.

Oczywiście dotyczy to tylko „kopanej”. Głos wydawany przez żużlowy

motocykl zagłuszy niestety każdego kibica.

XLVI

27 kwietnia 2020 – Taki sobie chaosik...

film na dziś „Nic nie widziałem, nic nie słyszałem”

Dziś o chaosie. Nie tym w waszych domach. Ani tym bardziej w moim. U mnie porządek. Nawet wczoraj podłogę wymyłam. Codziennie zmywam naczynia. Piorę, jak w koszu nabiera się odpowiednia ilość prania białego i kolorowego. Śmieci też wynoszę. Posegregowane w miarę możliwości.

Za oknem też wszystko gra. Ludzie chodzą w maseczkach pod brodą. Większość sprząta po swoim psie. Pan dozorca codziennie robi obchód swego rewiru. Sprząta śmietnik. Przed nim leży tzw. wielki gabaryt, bo lokatorzy mają gdzieś termin akcji „Wywal graty z chaty”. Stare wersalki i fotele wymieniają wtedy, kiedy im wygodnie.

Chodzi o chaos informacyjny.

Zbyt dużo pojawia się informacji w związku z nieszczęsnymi wyborami. Karty do głosowania mają trafić bezpośrednio do skrzynek. Ale mamy potwierdzić ich odbiór. Listonosz ma nas wylegitymować. Czyli mamy z dowodem osobistym stać przy skrzynce na listy? A skąd pewność, że to my tu mieszkamy, że nie stoimy pod skrzynką Jasia Kowalskiego, żeby przechwycić kartę do głosowania w celu sfalszowania wyborów? Kochani, w naszych dowodach nie ma danych o miejscu zameldowania... A roznosiciel ma prawo nas nie znać. Wirus też nas nie zna.

Słowem – nikt do końca nie wie, jak będzie.

Największy chaos informacyjny dotyczy samego małego, wrednego hitlerka. Przejdźmy do konkretów, czyli jak to z nim jest.

„Niemiecki wirusolog twierdzi, że epidemia potrwa aż do wynalezienia skutecznej szczepionki. Francuski wirusolog twierdzi, że epidemia samoczynnie wygaśnie za kilka tygodni. Chiński wirusolog twierdzi, że Covid będzie powracał jak grypa sezonowa. Włoski lekarz twierdzi, że wyleczeni pacjenci nabierają trwałej odporności. Brytyjski lekarz twierdzi, że pacjenci mogą być odporni tylko przez kilka tygodni lub miesięcy. Polscy lekarze twierdzą, że wyleczeni pacjenci nie mogą nikogo zarazić. Chiński lekarz twierdzi, że wyleczeni pacjenci mogą nadal zakażać”.

Tak, skopiowałam z postu byłej uczennicy. Było tam jeszcze więcej wzajemnie wykluczających się wypowiedzi, których już przytaczać nie będę.

Klasycznym już przykładem mętliku w wypowiedziach jest nasz minister zdrowia. Niby lekarz, a jednak coś mu się miesza. Najpierw mówił, że maseczka nic nie daje. Nikogo przed niczym nie uchroni. No, może ci co kaszlą lub kichają

powinni ją nosić. Reszta niech machnie na ten środek zapobiegawczy ręką. Potem odwrót o 180 stopni i nakaz noszenia czegokolwiek na ustach i nosie.

Dziś też mamy masę sprzecznych opinii o owych maskach. Ulice przypominają karnawał, bo każdy ma inną. Ja na przykład mam taką z uśmiechem Jokera. Chodzę i straszę. Joker uszyty jest z przewiewnego materiału, w związku z czym ma przewiew. Tradycyjne, koronawirusowe uszyte są z bawełny. Oj, mam taką... Oj, trudno oddychać. Człowiek łyka własny dwutlenek węgla... Oj, wdycha...

Właśnie... Są tacy, co uważają, że ów dwutlenek nie zaszkodzi, są tacy, co biją na alarm. Bo doprowadzi do zapalenia płuc. Pomaseczkowego, nie wirusowego.

I komu tu wierzyć?

O ilości teorii spiskowych już nie wspomnę. Odnotuję jedynie, że coraz więcej osób z mego otoczenia, osób całkiem poważnych, politycznie niezaangażowanych, zaczyna wierzyć, iż coś w tym wszystkim jest. I nie jest to jakiś tam wirus....

Najmniej chaosu jest w łomżyńskich szpitalu jednoimiennym. Znaczą się zakaźnym. Co prawda pod koniec tygodnia ktoś próbował coś napisać na temat związany ze szpitalem i podał wiadomość, że karetki wiozą chorych do szpitala!

Ludzie, rewelacja! Chorzy ludzie będą leczeni w szpitalu!

Według dzisiejszych danych na 203 sale i 476 łóżek, w łomżyńskim szpitalu przebywa 30 (słownie trzydzieści) osób w koronie.

A martwiła się była pani poseł, że warunków nie ma do leczenia, a martwiła się... Tymczasem mamy w Łomży komfortowe warunki do opieki medycznej!

A jak tam wasze szpitale?

XLVII

28 kwietnia 2020 – Do przodu żyj!

film na dziś „Pół żartem, pół serio”

Informuję, że wszystko idzie do przodu. Strach opanowany. Ludzie wychodzą na ulice. Człowiek zaczyna rozmawiać z człowiekiem. Coraz więcej samochodów. Wraca sens włączonych świateł na skrzyżowaniu. Nawet, o dziwo, liście na drzewach zaczęły rosnać.

Wiem, że wiosna, ale susza. Istniało niebezpieczeństwo, iż w ogóle nie wyrosną.

Kolejny mądry w ratuszu wydał rozkaz koszenia trawy, której nie ma. W internecie podniósł się wrzask. Ponoć kosiarka zjechała z placu boju.

Syn na działce wykopał nowy dół i przeniósł „sławojkę”. Zastanawiam się, co

posadzić w miejscu starej. Gleba powinna być żyzna. Taki czarnoziem.

Jeszcze tylko za dużo aut przed blokiem. Ludzie jak widać nie pracują.

Jeszcze brak szkolnego hałasu. Wszak szkoła blisko mnie. Ale małolatów coraz więcej. Niektórzy mają gdzieś zakazy grupowania się. Łażą piątkami, szóstkami i jak jest im wesoło. O ile na początku kwarantanny jeszcze rozmawiali o szkole, to teraz mówią o muzyce, filmach oraz plotkują kto z kim i dlaczego. Chodzi oczywiście o wiosenne miłości.

Na osiedlowych boiskach też coraz więcej amatorów amatorskiego uprawiania sportu. Takiego dla zdrowia. Nie dla pieniędzy.

Bo z zawodowcami zrobił się problem. Otwarto co prawda ośrodku przygotowań olimpijskich, zaproszono co prawda sportowców, ale.... Najpierw taki sportowiec musi przejść dwutygodniową kwarantannę, czyli trening indywidualny i do pokoju. I nigdzie więcej. Dopiero potem będzie mógł wyjść do takiej na przykład stołówki i z odległości dwóch i pół metra pogadać z innymi.

Część sportowców wypowiedziała się negatywnie o takiej formie zdobywania formy. Do tego prawdopodobnie nie odbędą się w tym roku żadne ważniejsze imprezy sportowe, które wymagają bardzo intensywnych przygotowań, zatem można spokojnie trenować na własnym podwórku. Analizując sytuację sportowców, pomyślałam trochę o szkole, wszak emerytowany belfer ze mnie. Jak będą wyglądały lekcje po powrocie uczniów do szkół?

W sali lekcyjnej znajduje się 15 ławek, dla 30 uczniów. Jeden obok drugiego. Teraz tak nie można. Teraz musi być odstęp. Wynika z tego, że VII A trzeba będzie podzielić na VII A1 i VII A 2. Lekcje zaczną się o 7.00, skończą o 20.00.... Dwuzmianowość jak w mordę strzelił.

Tu jednak jest jedno światelko w tunelu. Nauczyciele nie muszą obawiać się o pracę. Będą mieć jej aż nadto. Pytanie, kto za nią zapłaci...

Kolejna sprawa.... Jak zorganizować przerwy i przejścia uczniów z sali do sali? Rozumiem, w czasie przerwy będą siedzieć w sali, ale jakoś muszą przejść z sali komputerowej do chemicznej, z historycznej do sali gimnastycznej, z biologicznej do katechetycznej, bo lekcja religii nie może przecież odbywać się w pomieszczeniu, w którym mówi się o rozmnażaniu...

Jak zorganizować zajęcia z wychowania fizycznego, skoro owa gimnastyczna jest jedna, a lekcje ma kilka klas....

I tak mogłabym pytania mnożyć, bo po prostu nie wyobrażam sobie szkoły w nowych warunkach. I chyba nikt sobie póki co nie wyobraża. Będzie jak zwykle.

Rząd postanowi i wykonanie zrzuci na same szkoły. Niech sobie radzą, niech kombinują, by ustanowione przepisy zachować. Tak było podczas poprzedniej reformy, tak będzie i teraz. Jeśli się coś nie uda i cała szkoła pójdzie na kwarantannę (znaczy się wszystkich trzeba będzie zamknąć w budynku, ze spaniem na styropianie jako element lekcji historii), winę poniesie za to dyrektor i oczywiście samorząd. Taki

uczniowski na przykład.

Tak więc sobie moi drodzy chodzę po coraz bardziej zatłoczonych ulicach i myślę, jak to nasze życie będzie wyglądało.

Może kiedyś zatęsknię za pustym osiedlem?

Za ciszą dzwoniącą w uszach?

Za wróblami na kilku drzewach, które radośnie rano ćwierkały?

Póki co, dziś jadę na działkę sprawdzić, czy pędy sosny gotowe już do zrobienia nalewki. Przez ostatnie czterdzieści siedem dni nalewki jakoś tak dziwnie wyparowały.... Czeka mnie dużo pracy, w celu odbudowania zawartości domowego barku....

XLVIII

29 kwietnia 2020 - Branża funeralna i sklep ogrodniczy

film na dziś „Zgon na pogrzebie”

Zacznijmy od tego, że wczoraj, późną nocą, podczas ostatniego zerkania w internet, zamroczyło mnie. To znaczy zamroczyła informacja, że „Branża funeralna nie wierzy w zabójczy efekt epidemii. Spadek liczby pogrzebów”. Przeczytałam dokładnie kilka razy, bo myślałam, że to jakiś żart.... no nie... ponoć tak jest. Co prawda tłumaczenie dlaczego tak jest, było w tekście już nie do końca jasne. Ale jeśli rzeczywiście tak jest? Sprawa robi się wyjątkowo ciekawa.

Wśród swoich znajomych zrobiłam ankietę, kto zna kogoś, kto chorował.

Nawet córka pracująca w stolicy, wykonująca zawód podwyższonego ryzyka, nikogo takiego nie zna. O innych nie wspomnę.

Oczywiście, że w chorobę wierzę. W każdą chorobę wierzę. W siłę grypy też. Dziesięć lat temu na powikłania pogrypowe zmarła moja koleżanka. Kiedyś wybrałam się na urlop dwa tygodnie po przebytej ciężkiej grypie. Większość czasu spędziłam w pokoju. Była bardzo osłabiona.

W ciężki przebieg choroby oczywiście, że wierzę. Każdej choroby.

Czy ktoś z was chorował na „różyczkę” w wieku 18 lat? Albo na „świnkę” w wieku 32? Ja miałam „różyczkę”, sąsiadka wraz z synem chorowała na „świnkę”. Nawet nie wiem, jak opisać przebieg owych chorób u osób dorosłych. Do tej pory na wspomnienie, dreszcze chodzą mi po ciele.

Do dziś pamiętam anginę z 40 stopniami gorączki. Utrata przytomności, majaczenie, jakieś obrazy przed oczyma, odór z gardła i zastrzyki dwa razy dziennie.

Każda choroba może mieć łagodny lub ciężki przebieg. Na każdą można

umrzeć. Każdą trzeba leczyć. Małego, wrednego hitlerka też trzeba przegonić. Tyle o artykule z wczorajszego wieczoru, który zakończył pierwszy, szalony dzień.

Był starannie zaplanowany. Wraz z synem mieliśmy zrobić zakupy. Ja postanowiłam po raz pierwszy od pięćdziesięciu dni zaatakować sklep wielkopowierzchniowy, syn kupić obrzeża betonowe. W planach był wspólny wyjazd na działkę.

Najpierw poszłam do sklepu ogrodniczego. Wchodzę. Dwie kasy. Obie za tzw. wiszącą z sufitu pleksą. Dziadek działkowiec kupuje cebulki roślin. Te weźmie, tamtych nie. A jakie są te? Duże wyrosną? Wszystkie cebulki – sadzeniaki znajdują się na ladzie. Pokornie stoję w odległości dwóch metrów. Ale co to? Za mną ustawia się kolejka. Pani w maseczce prawie mnie dotyka. Chcę się odsunąć. Gdzie? Dokąd? Za panią – facet bez maseczki. Naciera na panią. Ta się nie odsuwa. Widocznie lubi, jak ktoś się do niej przylepia.

Docieram do lady. Środek owadobójczy na drzewka. Nasiona „Łąka kwietna”. Nie ma, wykupione. Ale mogę przecież kupić kilka opakowań innych polnych kwiatków i wymieszać. „Proszę mi coś zaproponować” - mówię do pani. I wtedy pani pozostawia pleksę w spokoju, wychodzi i zaprasza mnie do witryny z nasionami. Żadnej odległości. To samo z sekatorem. Też pokazuje mi kilka sztuk...

Teraz już wiem, że jeśli zapadnę na małego, wrednego hitlerka, to znaczy, że złapałam go w tym sklepie.

W wielkopowierzchniowym jest już idealny porządek. Na podłodze oznaczenie, gdzie są owe dwa metry. Ludzi niewiele. Z półek biorę to, co mam na liście. Czekam na telefon od syna. Ma zadzwonić, kiedy stanie przed sklepem, żeby mnie z zakupami zabrać do domu. Nie dzwoni. Objeżdżam sklep jeszcze raz.

Dawno nie piłam vermutu.

O, wafelków kokosowych też dawno nie jadłam.

Może jeszcze raz na mięsny? W sumie, czemu nie... mogę tę szynkę w promocji kupić. Wrzucę do zamrażalnika. No i co z tego, że wczoraj postanowiłam wyjść wszystko i lodówkę odmrozić?

I tak w oczekiwaniu na transport kupiłam jeszcze kilka rzeczy poza listą. Kasa mnie podliczyła.

Zaczynam marzyć o kwarantannie i przywożeniu mi zakupów przez syna. Tylko z listy.

A na działkę nie pojechałam, Okazało się, że owe obrzeża są tak ciężkie, iż auto nie wytrzymałoby dodatkowego pokaźnego ciężaru w postaci mojej osoby. Syn zawiózł moje zakupy na chatę, a ja poszłam pieszo.

I wiadomość z dzisiejszego ranka – w Łomży jest czterech chorych na wiadomą chorobę. Wszyscy leczą się w domu.

Lokalne firmy pogrzebowe znowu nie zarobią....

XLIX

30 kwietnia 2020 – A na mojej Rodzinnej Ziemi...

film na dziś „Życie jest piękne”

Dziś spróbujemy zacząć pozytywnie. A to dlatego, że wczoraj spotkałam znajomą i ręce mi opadły...

Zawsze zadbana, z umalowanymi na ciemno włosami, odpowiednim makijażem dostosowanym do wieku 60+, staranny ubiór. Jak nie kurteczka, to płaszczyk i buty na dość wysokim obcasie.

Wczoraj zobaczyłam prawie horror. Włosy z potężnym siwym odrostem. Zero pudru, tuszu i cieni na powiekach. Byle jak narzucona na byle jaką sukienkę przybrudzona kurtka. Brudne, zniszczone półbuty...

Zaniemówiłam. Ona się odezwała. Załamany głosem, prawie ze łzami w oczach oznajmiła, że przyszło nam żyć w trudnych czasach. Za okupacji tak źle nie było. Zamknęli człowieka jak w więzieniu. Niczego nie wolno robić. Wolno tylko wolno umierać.

Odetchnęłam, kiedy wywnioskowałam, że stan znajomej wynika z konieczności dostosowania się do zasad kwarantanny. Myślałam, że spotkała ją rodzinna tragedia.

Próbowałam pocieszać, że źle tak wcale nie jest, że może już wyjść na spacer, że cały czas mogła wyjść do sklepu. A jeśli chodzi o włosy, to mogę do niej wpaść i zrobić porządek z odrostami. Byle by tylko farbę kupiła.

Machnęła ręką i odeszła.

Miałam do czynienia ze wzorcową postacią cierpiącą na depresję kwarantannową. Niewesoło, jeśli wokół nas znajduje się więcej osób... Chyba trzeba leczyć je optymizmem....

Nie, nie będzie o kolejnych etapach rozmrażania. Wczoraj zrobiłam potężne zakupy i nie ma mowy o rozmrażaniu lodówki.

Będzie o pozytywnych zjawiskach w naszym obecnym życiu. Wałbrzyskich rzecz jasna. No to moja Rodzinna Ziemia i tam zawsze jest dobrze! Dobra, wiem, że przesadzam, ale ojczyzna to ojczyzna, zwłaszcza ta mała.

Oto wałbrzyski prezydent Roman Szełemej każdego dnia nagrywa dla swoich mieszkańców około pięciominutową wypowiedź. Nazywa się to „Raport z życia miasta”. Swym spokojnym, niezwykle opanowanym głosem informuje nie tylko o czynnościach związanych z małym, wrednym hitlerkiem, nie tylko o ilości chorych w szpitalu oddziale zakaźnym (szpital wieloimienny). Mówi również o tym, co dzieje się w mieście.

Dzieje się dużo. Taka obwodnica, największa wałbrzyska inwestycja od czasów wybudowania mego osiedla – prawie sto lat temu, budowana jest bez

znaczących postojów. Oddano do użytku po rewaloryzacji kolejną zabytkową ulicę. Prezydent za każdym razem dziękuje mieszkańcom za dyscyplinę w czasie kwarantanny i podkreśla ich rolę w nierozprzestrzenianiu się wirusa po mieście.

Mówicie, że to tylko ja, tak z odległości 600 km, fanatyczna miłośniczka miasta, odbieram codzienny przekaz...

Też tak myślałam. Skonsultowałam ze znajomymi. Słuchają swego szefa. Z przyjemnością. Cieszą się, że facet pamięta o nich, że każdego dnia „spotyka” się z nimi poprzez internetowe nagranie. Cieszy ich przede wszystkim spokój, z jakim informuje nawet o trudnej sprawie, jaką było na przykład zamknięcie oddziału neurochirurgii w wałbrzyskim szpitalu.

Jednym słowem – jest pozytywnie.

Drugi pozytyw, oczywiście z Wałbrzycha, dostarczyła mi emerytka Zofia, z której wieje z reguły pesymizmem. Otóż pewnego dnia doznała szoku. Właśnie minął jej termin wyznaczonej wizyty u diabetologa. Już zaczynała kłąć i dostawać epizodów depresyjnych, kiedy nagle zadzwonił telefon. Kontaktował się z nią... pani doktor od cukrzycy. Zapytała, jak się czuje, jaki ma poziom cukru, czy posiada jeszcze lekarstwa, bo jeśli nie, to pani przepisze e-receptę.... Rozmowa była spokojna i rzeczowa. Pani obiecała, że z chwilą uruchomienia poradni, data wizyty zostanie wyznaczona po ponownie i podana telefonicznie. Zofia oczywiście zbaraniała. Pozytywnie. Jak żyje ponad 60 lat, żaden lekarz nigdy do niej nie zadzwonił i nie zatroszczył się o jej zdrowie.

Gest co prawda nie likwidujący choroby, ale poprawiający nastrój pacjenta.

I o to właśnie chodzi... poprawiajmy sobie wzajemnie nastrój!

L

1 maja 2020 – Niech się świeci 1 Maja!

film na dziś „Biało-niebieski sen”

<https://www.youtube.com/watch?v=3UuMwDek6U8>

Oto kochani zbliżyliśmy się do takiej rocznicowej cyfry. Pierwszy felieton napisała dla Was 13 marca... który jest dziś.... widać.

I to już będzie koniec...

Koniec mego pisanie pod hasłem „Narodowa kwarantanna”. Dlaczego akurat dziś kończę?

Pierwszy powód to oczywiście wymieniona powyżej cyfra. Chciałam co prawda dociągnąć do tej oznaczającej mój wiek, ale pomyślałam o kłopotach. Kłopotach

tematycznych.

Od kilku dni przerzucam sieć, nawet programy w różnych tv zaczęłam oglądać, by znaleźć natchnienie. Kiepsko jest. Zauważyłam, że mały, wredny hitlerek zaczyna znikać. Oczywiście, że nie z naszego życia.

Z ekranów. Monitora i telewizora w moim przypadku.

Jest go coraz mniej, a jego miejsce zajmują wybory. Jasne, że prezydenckie, nie te związane z zakupami, czy kupić „Żubra” czy „Łomżę”.

Być może niedługo wszyscy zapomną o wirusie. Ważne będą jedynie karty do głosowania. Urny do pochowania. Kandydaci do zapomnienia. Wyborcy do kitu. Szykuje się zwycięstwo polskich wyborów prezydenckich 2020 nad koronawirusem.

O polityce starałam się pisać niewiele. Wiem, że od niej nie uciekniemy. Ale pisać o niej jakoś mi się nie chce. Są inni od tego. I mądrzejsi. I głupsi. Kontynuując cykl „Narodowej kwarantanny” pewnie bym wkrótce musiała pisać, bo z innym tematem bym się nie przebiła. Mamy zatem drugi powód, by cykl zamknąć.

Trzecim powodem jest dzisiejszy dzień.

1 Maja.

Święto Pracy.

Dzień uwielbiany przez moje pokolenie.

Dzień przeklęty przez przeciwników socjalizmu.

Dzień wstąpienia Polski do UE.

Słowem – dzień bardzo ważny.

Już wczoraj wywiesiłam na balkonie flagę. Pewnie nadal samotna powiewa na wietrze. Przez okna widzę aż dwie inne. Normalne. To nie procesja w Boże Ciało, by dekorować balkony. Ani piłkarskie mistrzostwa w 2012, kiedy wszystko pokryte było narodowymi barwami.

Zaraz, zaraz, kiedy ja ostatni raz obchodziłam Święto Pracy?

Tak w 2011.... Na „majówkę” wyjechałam do ukochanego Wałbrzycha. Pierwszego maja siedziałam ze znajomymi w pubie przy stadionie na Nowym Mieście. Piliśmy piwo, wspominaliśmy stare, dobrze pochody i stragany. Co chwilę ktoś podsumowywał „I komu to przeszkadzało?...”. Drugiego maja byłam na grillu. A w rocznicę uchwalenia konstytucji miałam pociągami około 13.00 wyruszyć do Wrocławia, gdzie oczekiwał mnie zmotoryzowany syn.

Tymczasem zatelefonował i kazał być wcześniej. Wyjechałam ok. 8.00. Już na dworcu zauważyłam, że z nieba leci coś białego. Może to płatki kwiatków? Drzewa

wszak kwitną... Wraz z towarzyszącą mi roczną wówczas sunią wsiadłam do pociągu. W połowie trasy telefonicznie odezwała się wczorajsza koleżanka z grilla. Zapytała, czy widzę ten śnieg. Jaki? Za wagonowym oknem pada deszcz. Tymczasem w Wałbrzychu ponoć zaczął padać śnieg i to nie byle jaki. Taki styczniowy. We Wrocławiu przesiadłam się do auta syna i pomknęliśmy „ósemką” do domu. Lało. Normalnie lało. W okolicy Rawy Mazowieckiej postanowiliśmy zrobić postój toaletowy. Lało. Pies nam zmókł. Kolejna znajoma zatelefonowała. Pytała, czy jesteśmy poza Dolnym Śląskiem, to ten już odcięty od świata. Śniegiem. Zaspami.

Po dotarciu do domu szybko włączyliśmy telewizor i komputer. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Trasa kolejowa, którą rano jechałam – zamknięta. Drzewa zerwały trakcję elektryczną. Na podjeździe do Wałbrzycha ze strony Świdnicy – stłuczka za stłuczka. Wiadomo, auta miały już letnie opony...

Ja na szczęście byłam już w domu.... w tym samym co teraz....

Niech się święci 1 MAJA!

TEORIE SPISKOWE

Rok 2020 z przełomem na 2021 upłynął pod znakiem pandemii wirusa zwanego koroną, ze względu na swój wygląd, który widzieli tylko uczeni i badacze. W Polsce dołączył do niego Strajk Kobiet, który stawał w obronie praw kobiet, sprawa pewnego kardynała, który stawał z kolei w obronie Kościoła oraz Marszu Niepodległości, który walczył o niepodległość, diabli wiedzą czyją.

Na tle tych wydarzeń rodziły się teorie spiskowe.... oto niektóre z nich....

Planowa eksterminacja

Od początku odkrycia istnienia koronawirusa, zastanawiano się nad celem jego istnienia. Póki co, odpuśćmy sobie pytanie skąd się wziął. Zastanówmy się, dlaczego się wziął. Najstarszą teorią spiskową wokół sensu istnienia korony jest twierdzenie, iż został „zesłany” w celu zniszczenia znacznej części społeczeństwa na świecie z ukierunkowaniem na schorowanych seniorów.

Taki senior nie spełnia bowiem żadnej roli w gospodarce typu kapitalistycznego, socjalistycznego i w ogóle żadnego.

Ongiś, a było to za czasów, kiedy człek rzadko dożywał senioralnego wieku, osoba starsza była źródłem wiedzy i doświadczenia. Obecnie funkcję taką pełnią zapisy elektroniczne oraz wujek Google. Są znacznie bogatszym źródłem niż babcia. Pod hasłem „babka drożdżowa” pojawia się nam 3 120 000 wyników w 0,44 s, podczas kiedy babci zajmuje to znacznie więcej czasu (odkurzenie pamięci, żeby

odszukać zeszyt z przepisami, wyjęcie okularów, żeby odnaleźć przepis, przeczytanie...).

Do tego wszystkiego medycyna tak się zagalopowała, że zaczęła przedłużać życie człowieka. Po co i na co, diabli wiedzą. Natury się nie oszuka i człek kiedyś przestaje pracować na rzecz społeczeństwa. Odchodzi na emeryturę i tu zaczynają się społeczne schody. Nie pracuje, ale je i trzeba go leczyć. A jak przez przypadek dożyje do setki (znaczy się stu lat, nie mylić z pojemnością dawnego kieliszka) to trzeba mu jeszcze dać order i wyprawić imprezę.

W sumie senior zupełnie się nie opłaca, gdyż znacznie podnosi koszty utrzymania człowieka na planecie. A seniorów robi się coraz więcej, oj coraz więcej i mają coraz większe wymagania. Chcą jakieś domy opieki, jakieś sanatoria, ba, chcą korzystać z najnowszych osiągnięć medycyny, nie dając oczywiście nic w zamian.

Cóż, należy się ich pozbyć. Wojna nie wchodzi w rachubę. Na wojnie giną również młodzi. A zresztą obecnie wojna się nie opłaca. Zrzucenie bomby, takiej atomowej na przykład, zniszczy ekosystem i ekolodzy nie darują dewastacji Puszczy Białowieskiej.

Odwołano się zatem do historii. A ta prezentuje liczne epidemie. Taka czarna śmierć w XIV wieku zabiła blisko jedną trzecią ludności Europy, o słynnej grypie „hiszpance” z 1918 nie wspomnę. Nikt nikogo nie sądził i nie skazał za dżumę lub cholere.

Postanowiono zatem zesłać na świat nikomu nie znanego koronawirusa i skierować go głównie w stronę tych, co światu przeszkadzają.... w stronę schorowanych seniorów....

Narodziny gwiazdy

Dziś teorie na temat pochodzenia wirusa.

W sumie teorie są dwie: pierwsza – wyprodukowany przez Chińską Republikę Ludową oraz druga – wyprodukowany przez naturę. Zajmijmy się dziś teorią drugą, bo ciekawsza.

Głosi ona, iż to sama natura, jak to ma w zwyczaju, powołała do życia koronawirusa. Oczywiście w takiej postaci, jaką obecnie ma, gdyż wirusy z koroną, chadzające po planecie znane są naukowcom nie od roku 2020.

Natura bowiem nie lubi próżni. Człowiek zlikwidował dżumę, cholere, ograniczył gruźlicę, wynalazł szczepionki na odrę, ospę i różyczkę. Do tego umieścił na matce Ziemi tony zużytego plastiku, przetrzebił Puszcę Amazońską i roztopił lodowce. W sumie wydawało by się, że naturą zawładnął i załatwił ją na amen. A tu klops, mielony i schabowy przerobiony na siekany. Natura się nie dała. Resztką sił wypuściła wirusa i zaatakowała. Najpierw oczywiście seniorów, by dać szansę

młodym na ponowne dostosowanie się do jej potrzeb. Na co oczywiście trzeba czasu, a starzy mają go znacznie mniej.

Słowem – natura pokazała człowiekowi nie tylko gdzie raki zimują, ale kto tak naprawdę na tej planecie rządzi.

Oczywiście są tacy, co twierdzą, iż wirus to kara zesłana przez Boga na grzeszne społeczeństwo. Oczywiście przychyliam się do tej teorii. Jeśli uznamy naturę za istotę najwyższą, to właśnie ona zesłała karę na człowieka, który nie tylko przekroczył wszystkie dziesięć przykazań, ale i kolejnych sto przeciwko odwiecznym prawom natury. „Nie gwałćcie prawa natury!” - powiedział klasyk w „Seksmisji”. A jak wiadomo człek już dawno i wielokrotnie dopuścił się tego bezeceństwa i oto został ukarany.

W sumie więc należy posypać głowę popiołem, ekologicznym oczywiście, złożyć ofiarę, oczywiście, że nie z palonych opon, i czekać. Może Matka Natura da się przebłagać. Modlitwy oczywiście też są wskazane. Bo cóż innego nam pozostało....

Inferno

Mniej więcej (raczej mniej niż więcej) już wiemy jak i dlaczego zrodził się wirus zwany koronny, czas na bardziej wykwinłą teorię spiskową. Chociaż wcale nie najnowsza.

Istnieje grupa spiskowców twierdząca, że światu od czasu do czasu trzeba udzielić lekcji pokory. Opowiada o tym bardzo rozwinięty dział literacki zwany literaturą fantastyczną (nie mylić z naukową). Już pierwsza prawdziwa powieść tego gatunku, nazwana „Biblią” opisuje potop, w którym ginie stary świat, zamieszkujący go grzeszni ludzie, a Noe wraz z rodziną na nowo zaludnia świeżo nawodnioną matkę Ziemię. Wątek zalania planety pojawia się w mitologii greckiej – losy Deukaliona i Pyrry; w Irlandzkiej księdze Lebor Gabála Érenn; w skandynawskiej mitologii – ginie pierwsze pokolenie olbrzymów; jest wersja sumeryjska, starobabilońska, Epos o Gilgameszu; wersja Berossosa.... a co ja będę się tu wysilała. Jest internet, sprawdźcie sobie. W każdym razie po każdym potopie świat stawał się lepszy.

Wspomniana już przez mnie średniowieczna dżuma też otworzyła światu drogę do Nowego Świata, czyli epoki Odrodzenia. A co tam! Lećmy dalej – słynna Apokalipsa! Najpierw pożoga, zniszczenie, śmierć i zgrzytanie zębów, a potem – Miasto Święte:

„warstwy fundamentu pod murem Miasta

zdobne są wszelakim drogim kamieniem.

Warstwa pierwsza - jaspis,

druga - szafir,

trzecia - chalcedon,

czwarta - szmaragd,

piąta – sardoniks (...)

A dwanaście bram to dwanaście pereł”

Najpierw zatem trzeba świat rozp.... znaczy się rozwalić, ludzi wybić, by na gruzach powstała nowa lepsza Ziemia.

Teorię tę poznajemy dzięki Danowi Brownowi, autorowi książki „Inferno”. Jego bohater, Bertrand Zobrist, wzorem swych poprzedników, chce rozwiązać problem, tym razem światowego przeludnienia, poprzez wypuszczanie wirusa, który ustabilizuje liczbę ludzi na świecie. Słowem – zamiast potopu taka sobie czarna śmierć na miarę XXI wieku. Oczywiście w powieści Browna niejaki Robert Langdon zapobiega katastrofie. Ale raczej nie na długo.

Książka została wydana w 2013, film nakręcono w 2016.

A w 2020 ktoś zainspirowany wielkimi dziełami wypuścił w świat koronawirusa...

Bańki i Klasztor Shaolin

O tym, że najpopularniejszy wirus zrodziła sama Matka Natura jako wyraz sprzeciwu przeciwko lekceważeniu jej praw przez człowieka, już pisałam. Dziś kolej na drugą teorię związaną z powstaniem wirusa.

Człowiek w warunkach laboratoryjnych sam sobie nagrabił, czyli wymyślił, skonstruował lub wyhodował. Tym człowiekiem był oczywiście Chińczyk, bo w Chinach to się zaczęło.

Najprościej o celową produkcję śmiertelnej zarazy posądzić mandarynów, co to nieustannie dążą do wzrostu potęgi państwa na świecie. Sporo już zrobili w tym zakresie. Gdziekolwiek się nie rozejrzysz, to dostrzegasz produkty chińskie. Takie buty już nie są „Made in USA”, mają napis „Made in China”. Chińska bawełna wyparła ze światowych rynków inną bawełnę, w wyniku czego w Łodzi zamiast fabryki mamy Centrum Handlowe, a w Łomży po zakładach bawełnianych pozostał jedynie biurowiec przerobiony na prywatną szkołę wyższą.

Wirus miał zawładnąć światem. Gospodarki państw zarażonych miały upaść, a Chiny przejąć cały światowy rynek wszystkiego dobra, który człek wyprodukował. Oczywiście należało poświęcić trochę swoich ludzi, by działania uprawdopodobnić, ale co tam... Chińczycy poświęcą się dla samych siebie! Obecnie epidemii tam nie

ma, zwinęła się dość szybko jak na tak liczny kraj. Gospodarka chińska rozwija się. Nam też wcisnęli nieatestowane maseczki za pośrednictwem Antonowa. Teraz wciskają kolejne rzeczy. Koleżanka kupiła bańki chińskie próżniowe, co to cellulit mają zlikwidować.

Kto mógł owego wirusa wynaleźć? Powiecie, że naukowcy. A ja wam powiem, że to mnisi ze słynnego Klasztoru Shaolin. To tam wymyślono sztuki walki, to tam fachu uczył się słynny Bruce Lee, o Jacku Chanie nie wspominając. W klasztorze nadal są mnisi, nadal zajmują się sprawami religii i walki. Mogą prowadzić badania naukowe? Mogą. Tym bardziej, że do mnichów zajmujących się religią, nie ma dostępu, a religia jak wiemy z autopsji – może wszystko.

A czy w ogóle jest dostęp do Chin? A czy w ogóle wiemy co się tam dzieje? Dzieli nas przecież od nich 2400 km piętnastowiecznego muru.

Terroryści, ekstremiście i cała reszta

Niedawno doczytałam się w sieci, iż rozprzestrzenianie się wiadomej zarazy spowodowane jest działalnością terrorystów, ekstremistów i wszelkich zorganizowanych grup przestępczych typu Cosa Nostra, Narcos i Gang spod Wólki Krzywej.

Dawniej taki terrorysta musiał kupić lub skonstruować bombę. A z taką bombą to nigdy nie wiadomo co się stanie, gdzie kiedy i kogo wysadzi w atmosferę. Trzeba ją przetransportować, podnosić, przekazywać i umieścić. Przekonał się o tym bohater powieści Andrzeja Struga z 1910 roku pt. „Dzieje jednego pocisku”, które to dzieje zostały sfilmowane przez Agnieszkę Holland w 1980 roku pod podobnym tytułem z dopiskiem „Gorączka”.

Przenoszenie wiadomego wirusa jest znacznie bardziej proste.

Wystarczy zwinąć kilka testów, by przetestować członków organizacji i wysłać w tłum takiego zakażonego. Oczywiście najlepiej takiego bezobjawowego, bo ten nie wzbudza podejrzeń. Człęk kaszlący, smarkający i łapiący się za głowę wzbudza dziś o wiele więcej niepokoju niż terrorysta w masce. Wszak maski nosimy wszyscy, co wcale nie oznacza, że jesteśmy członkami podejrzanej bojówki.

Idzie więc taki terrorysta do takiego na przykład kościoła. Śpiewa głośno, oddycha swobodnie i rozsiewa koronę na wysokościach. Robota lekka, łatwa i przyjemna. Jako że w kościołach najwięcej jest tych, w których wirus jest skierowany, znaczy się seniorów, terrorysta zadanie wypełnia bez jednego strzału.

Działanie terrorystyczne może się również odbyć bez konieczności kradzieży testów. Ważne! Jedno przestępstwo mniej! Wystarczy znaleźć takiego bezobjawowego i za drobną opłatą wysłać go do miejsca zgromadzenia licznego. Zawsze można mu jakiś kit wcisnąć, że niby o jakiś zakład o piwo chodzi, że

teściową trzeba przestraszyć...

W każdym razie działania terrorystyczne ograniczają się do niezbędnego minimum. Najważniejsze to znaleźć tłum.

Z tym wiadoma wataha też nie ma problemu. Jest aktywna w mediach społecznościowych. To właśnie takiej zorganizowanej grupie przestępczej zawdzięczamy powstanie koalicji anykowiedowej i antyszczepiennej. Według cytowanej przeze mnie teorii spiskowej są one „w prosty sposób wykorzystywane do inspirowania terroryzmu”(…) mogą być wykorzystywane do motywowania do ekstremalnych i niebezpiecznych działań.”

Jak wynika z powyższej teorii w Polsce spadkobiercy gangu Olsena nie patyczkują się. To oni stoją za zorganizowaniem Strajku Kobiet i Marszu Niepodległości.

Niektórzy dopatrują się ich aktywności także w działaniach szpitala na Stadionie Narodowym.... Tym razem w dezorganizacji jego działania...

Wątroba w czipie

Do najczęściej powtarzanych i rozwijanych teorii spiskowych należy teoria o zagrożeniu szczepiennym, czyli dać się szczepić na wirusa, zwanego koroną, czy odpuścić sobie, bo to i tak nic nie da.

Na początku pandemii rozwijano teorię o zawartym, w planowanych wówczas szczepionkach, mikroczipie. Było to urzeczywistnienie wizji z filmu „Interkosmos”. Film ten opowiada o podróży pilota wojskowego w zminiaturyzowanej łodzi podwodnej wewnątrz ciała człowieka. Facet sobie tam pływał, oglądał wątrobę, serce, a nawet odkrył, że jest w ciąży. To znaczy nie on, ale jego ukochana, gdyż w wyniku wymiany płynów, w postaci bodajże kichnięcia, znalazł się w kobiecym ciele.

W sumie źle by nie było. Nawet gdzieś napisałam, że dobrze byłoby mieć taki czip w sobie. Zwłaszcza podczas praktykowania medycyny telefonicznej. Taki lekarz pierwszego kontaktu miałby na monitorze wszystkie nasze narządy i wiedziałby, gdzie na przykład taki rak się umiejscowił... w wątrobie.... w żołądku.... Jakiej jest wielkości.... jeszcze leczyć czy już zaklepywać miejsce w chłodni zakładu pogrzebowego... bo wiadomo, pandemia, dużo ludzi umiera...

Już dobrze.... już przestaję....

Taki czip mógłby również wyjaśnić przyczynę innych, mniej oczywistych chorób leczonych w fazie początkowej, oczywiście telefonicznie. Gdybym go miała, być może nie trafiłabym latem do szpitala... Niestety, trafiłam, zrobiono mi wszystkie możliwe badania i nie znaleziono żadnych przyczyn uniemożliwiających mi wówczas egzystencję wśród zdrowych.

W sumie wyzdrowiałam i też nie wiem dlaczego.

Jednak większość z moich znajomych nie chce takiego mikroczipa u siebie. Powołuje się na inny film - „Apollo 13”. Uwięziony, wraz z kumplami, w statku kosmicznym na orbicie Tom Hanks w przyływie emocji usuwa ze swego ciała wszelkie rurki, napy i czujniki rejestrujące pracę jego organów wewnętrznych. Oczywiście wszystko jest widziane i rejestrowane w NASA w Huston i wszyscy mogą śledzić takie serce Toma Hanksa na przykład. Ów więc krzyczy, że chce trochę prywatności w ciężkich czasach.

Cóż, są tacy co lubią rozmawiać o stanie swojej wątroby, są tacy co nie. W końcu choroba to prywatna sprawa.

Ekstradycja z bonem w tle

Oto pewna rodzina 2+2 i nie wiadomo kto jeszcze, bo jak wiecie zgromadzenie nie może liczyć więcej niż pięć osób, a jeśli owa rodzina jest na kwarantannie to tylko muszą być cztery sztuki, bo jeśli...

Znowu się zagalopowałam. Nie o tym będzie dziś mowa. Dziś będzie o Polskim Bonie Turystycznym, co to ma na celu „wparcie finansowe polskich rodzin, osłabionej przez skutki pandemii COVID-19. Dopłata do wypoczynku pośrednio pomoże osłabionej branży turystycznej.” I taka dopłata ma być ważna do marca 2022 roku. „Wynosi jednorazowo 500 zł na każde dziecko do 18 r. życia(...) Za pomocą bonu można dokonać płatności za usługi hotelarskie lub imprezy turystyczne realizowane przez przedsiębiorcę turystycznego lub organizację pożytku publicznego na terenie kraju.”

Wiem, że dużo cytatów, ale tak trzeba, żeby ideę przypomnieć. W czas letni część ludzi bon wykorzystwała. Część, ta zastraszona i przestraszona wiadomym wirusem, odpuściła sobie obiecując dzieciom, że zimą na pewno wesprą branżę hotelarską swoimi osobami.

A tymczasem decydenci zadecydowali, że wszystko, co zimowe będzie zamknięte: stoki narciarskie, żarcie przy stokach, hotele i zajazdy na stokach, słowem zamkną takie Zakopane i niech się wreszcie samo zakopie. Wszystko oczywiście dla dobra społecznego i klęski wirusa.

Równocześnie podjęto decyzję, że ferie zimowych nie będzie. To znaczy będą. Połączą się ze świątecznymi i część narodu wymagająca kształcenia, kształcić się nie będzie. Ktoś z tzw. rządu zaapelował, żeby siedzieć w domu i tyle. Bo to dobrze, znaczy się źle wpływa na koronnego. Zresztą, młodzi wyhasali się na Strajku Kobiet i Marszu Niepodległości, i wystarczy im ruchu.

Zacząła się awantura ogólnostokowa, w wyniku której zjeżdżać na nartach będzie wolno, (bo ponoć jakiś decydent ma stok, a może stóg, po takim stogu też można szusować na du...) ale już napić się gorącej herbaty po zjeździe – nie.

Działanie zupełnie logiczne w obliczu nakazu siedzenia przed kompem przez małolatów. Żaden rodzic z Gdyni nie pojedzie z dzieckiem do Krynicy Górskiej na

narty. Herbata w termosie wystygnie.

Całą sytuację wyjaśniła wspomniana wcześniej rodzina na kwarantannie.

Otóż kochani moi, rząd nie ma pieniędzy na ów bon turystyczny! Czas jego wykorzystywania trzeba wydłużać i wydłużać. A może Polacy do tego marca 2022 o nim zapomną?

Trzeba zatem ludzi zniechęcić, dalej prowadzić akcję zastraszania, wystraszania i narodowego obłądu. „Posiedzita w domu, to bezrobotny w Polsce wirus odleci do takiego Meksyku na przykład. Nie będzieta wyjeżdżać, to umrze z głodu. A jeśli do tego nie wywołacie żadnego nowego strajku, to kto wie.... może na mocy specjalnego dekretu zrobimy mu ekstradycję z kraju?”

Choroba, zaczynam wierzyć w to, co piszę....

Czyżby to już nie była tylko teoria spiskowa?

Transformant zmodyfikowany

Dziś ponownie o szczepionkach....

Są tacy, co twierdzą, że czip będzie pluskwą agenturalną, z lokalizacją i podsłuchem. Uspakajam. Nie będzie. Rolę agentury śledzącej każdy nasz krok pełni obecnie pełni wszechobecnym monitoring oraz... nasz osobisty, prywatny telefon komórkowy.

Wystarczy obejrzyć pierwszy z brzegu serial typu „Komisarz Alex” czy „Ojciec Mateusz”, żeby przekonać się, jak łatwo prześledzić nasz spacer z Burkiem po mieście. „Między 21 a 22 zamordowano Zośkę spod 5? A kto się logował do najbliższej stacji BTS? Wśród nich jest morderca” - krzyczy komisarz do aspiranta. I zaczynają się przesłuchania, przepytывania i odtwarzania trasy naszego spaceru. Wszyscy jesteśmy podejrzani – jak powiedziała stara, dobra Joanna Chmielewska.

Teorię o agenturalnej roli czipa ze szczepionki przeciwko koronie odrzucamy definitywnie, bez telefonu do przyjaciela.

Pojawiła się jednak inna teoria. Oto szczepionka będzie powodowała modyfikację (transformację) genów. Nie mając pojęcia co to jest i jak to się je, zaczęłam grzebać w internecie....

„Transformacja genetyczna, (transgeneza, transgenizacja) – wprowadzenie do komórki obcego materiału genetycznego (DNA), zwłaszcza niewielkiej jego porcji obejmującej jeden do kilku genów. Zmodyfikowana w ten sposób komórka, a także (w przypadku organizmów wielokomórkowych) zregenerowany z niej organizm, to tak zwany „transformant”. (to Wikipedia)

Pod tą definicją znajduje się osiem sposobów na owe wprowadzenie obcego do ciała podstawowego. Najbardziej przypadł mi to gustu punkt mówiący o „wstrzeliwanie cząsteczek DNA przy pomocy armatki genowej”. Oczywiście można by zagłębiać temat inżynierii genetycznej i grzebać w sieci, tylko po co...

Teoria spiskowa mówi wyraźnie – w szczepionkach będą obce geny, które nas zmieniają w transformant. Pytanie zasadnicze – jaki transformant? Jeśli trafią mi się geny Burka z podwórka, to jeszcze źle nie będzie. Wolę być sympatycznym pieskiem niż małpą, nawet człekokształtną. Mnie osobiście przydałyby się geny jakiejś modelki (bez nazwisk, bez nazwisk), żebym tak szczuplejsza się stała. Albo takie geny uczulające Człowiekowi z AA za pomocą armatki genowej wstrzeliwujemy gen przeciwalkoholowy i człek już na spotkania grupy nie musi chodzić, bo ma alkoholowstręt.

Tak więc moi drodzy, z tymi szczepionkami, co to geny mają nam zmieniać może wcale nie będzie tak źle....

Dystopia senioralna

Skoro już mniej lub więcej wiemy, skąd zaraza i jak się ma, czas na metody działania tzw. ludzkości w celu jej pokonania lub wyciągnięcia z jej przebiegu korzyści ogólnoswiatowych. Jednym z nich jest oczywiście przerzedzenie ludzi na tej planecie, czyli unicestwienie najbardziej zbędnych, znaczy się seniorów. W naszym kraju obecnie umiera coraz więcej osób starszych, co jest potwierdzeniem owej teorii.

Jak odmłodzić społeczeństwo, takie polskie na przykład.... Dziś jedna z metod.

Zwróciła na nią uwagę nawet nasza noblistka Olga Tokarczuk. W wydanej niedawno książce „Czuły narrator” napisała: *„Niesamowitym dla mnie doświadczeniem były godziny dla seniorów podczas pandemii (tekst pisany w I fazie, stąd czas przeszły – przypis mój) kiedy to między dziesiątą a dwunastą na ulice wychodzili ludzie powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia i załatwiali sprawunki w sklepach. Potem zaś, po południu, w kolejkach do supermarketów można było ujrzeć samych trzydziesto-, czterdziestolatków. Początek jakiejś ponurej dystopii...”*

Oczywiście ów absurdalny przepis wprowadzono w imię ulżenia seniorom w ich ciężkiej doli. W rzeczywistości chodzi głównie o skłócenie pokoleń. W imię oczywiście dobra społecznego.

Moja koleżanka 60+ pracuje w wyznaczonych dla geriatry godzinach. Zakupy musi więc robić w czasie dla normalnych ludzi. Obrywa się jej za to. Kilka razy próbowała wyjaśnić, dlaczego kupuje marchewkę o 16.00. „Won na emeryturę!” - usłyszała od jurnego ojca małego dziecka.

Moja synowa nie pracuje, zajmuje się wychowaniem syna w wieku

żłobkowym. Akurat czas senioralny to najlepszy dla niej czas na sprawunki. Idzie z maluchem na plac zabaw, a w drodze powrotnej mogłaby zahaczyć o sklep i zrobić zakupy, wrócić spokojnie do domu, ułożyć malucha do drzemki i zająć się przygotowaniem obiadu na ciężko pracującego męża i ojca. Mogłaby, ale nie może. Bo zakupy musi robić po 12-tej....

Do tego, oczywiście dla dobra seniorów, w wielu sklepach w owych słynnych godzinach można kupić wiele towarów po promocyjnych cenach, a niektóre sklepy po prostu dają rabat takie 10% na wszystko... co oczywiście moją synową też wnerwia, bo rodzina na dorobku i trochę oszczędności by się przydało.

I tym sposobem społeczeństwo jest skłócone, znerwicowane i ma wszystkiego dosyć. Konflikt pokoleń na tle zakupów w super i hipermarkecie na pewno zostanie kiedyś opisany przez psychologów, socjologów i psychiatrów. Wszak bardzo to cenny obszar badań.... niekoniecznie lekarskich za pomocą telemedycyny....

Korzyść ogólna to taki dyskryminowany 60+ szybciej zejdzie, oj zejdzie.... i przeredzi się planeta, przeredzi...

Aha, dystopia (st.gr. δυσ – zły; τόπος – miejsce) – utwór fabularny z dziedziny literatury fantastycznonaukowej, przedstawiający czarną wizję przyszłości, wewnątrznie spójną i wynikającą z krytycznej obserwacji otaczającej autora sytuacji społecznej. Dystopia przyjmuje pesymistyczny osąd zastanego świata, fantastyczna wizja jest zazwyczaj jego hiperboliczną konstatacją, negującą możliwość odmiany w przyszłości zastanego stanu rzeczy. Wikipedia

Wykluczenie pandemiczne

W poprzednim tekście pisałam o przeredzeniu świata poprzez wywołanie konfliktu pokoleń w związku z zakazem i niezakazem wchodzenie do sklepów w określonych godzinach tj. 10-12.00. Na pewno te godziny przejdą do historii tak samo jak słynna 13.00 w czasach PRL-u.

Dziś kolejna metoda wykańczania seniorów w imię ich dobra w dobie wirusa. Nazywa się wykluczeniem.

Od wielu, wielu lat zachęcano seniorów do opuszczenia domów, do uprawiania sportu, do uczestnictwa w życiu społecznym. Miało to zapobiec przede wszystkim zamuleniu ich mózgu, czyli sprawieniu, iż będzie on ciągle aktywny, będzie pracował i znacznie opóźni przybycie pana Alzheimera.

Na użytek seniorów powołano do życia klub seniora, uniwersytety trzeciego wieku i nie bójmy się tego – kółka różańcowe. Ludzie się spotykali, rozmawiali, dyskutowali, śmiali i żyli.

Propaganda zrobiła też swoje w sprawie uprawiania sportu przez najstarszą grupę wiekową. Wyrzucono narty, zostawiono kijki i powstał Nordic Walking. Na osiedlach powstały siłownie plenerowe. Akurat te w mojej okolicy – opanowane przez seniorów.

Lata promowania zdrowego trybu życia zaczęły przynosić efekty. Osoba 60+ stała się aktywna. Wyszła z domu. Emerytura to nie izolacja od społeczeństwa, tak jak ongiś było na tzw. wycugu.

Tymczasem ostatnimi czasy taki senior usłyszał, iż w imię swego własnego zdrowia ma zostać w domu, bo tam go żadna korona nie chwyci! Okey, może i nie chwyci. Dorwie go za to depresja, demencja i słynny pan. To wszystko doprowadzi do zaburzeń pracy mózgu i przyczyni się do zejścia na choroby współistniejące. Brak aktywności fizycznej oczywiście powiększy liczbę owych chorób. Cukrzyk, zamiast spalania nadmiaru cukru podczas marszu z kijkami, będzie go gromadził w swoim organizmie. Człek po zawale utknie w fotelu przed telewizorem. Wszystkim spuchną nogi. Narządy wewnętrzne obrosną tłuszczem. Zniknie naturalna odporność. Osteoporoza zaatakuje wszystkie kości. Płuca, pozbawione świeżego powietrza, zaczną pracować coraz wolniej i wolniej... tak samo jak serce.... tak samo jak wątroba.... jak nerki.... Nastąpi samotność i poczucie wyobcowania, odrzucenia i beznadziei... duże wahania nastroju, urojenia, problemy z pamięcią i koncentracją, zaburzenia snu, brak właściwej oceny sytuacji, zaburzenia mowy

W końcu ktoś wezwie pogotowie lub policję, bo sąsiad nie będzie dawał znaku życia.

Zaraz, zaraz, to chyba już nie wykluczenie... to się chyba nazywa eutanazja....

Bez stetoskopu

Jak widzicie kochani, obracamy się nieustannie wokół teorii o przersedzeniu Matki Ziemi, która nie daje już rady ze zbyt dużą ilością jej dzieci. Wojny światowej dawno żadnej nie było. Wydłużyło się życie człowieka, znaczy się wiek, a lasy wycięto, lodowce topnieją.... Trzeba jakoś zapewnić byt tym, co... inaczej – młodym i zdrowym.

Bo oto dochodzimy do podstawowej metody przersedzania ludzkości poprzez wirusa – medycynę telefoniczną.

Sposób kontaktowania się z lekarzem, dla zmyłki nazywanym „lekarzem pierwszego kontaktu”, ma wyeliminować nie tylko nierentownych gospodarczo seniorów, ale również osoby chore. Te osoby nie pracują, nie wzbogacają gospodarki, nie wytwarzają. Wprost przeciwnie – regenerują wielkie koszty. A to szpitale, przychodnie, a to zabieranie czasu lekarzom, a to wypłaty z ZUS.... słowem chorego człeka trzeba

(Na szczęście hospicja korzystają głównie z datków i 1% i nie obciążają budżetu.)

Metoda wydaje się być w miarę humanitarna. Lekarz telefonicznie postawi diagnozę, da numer recepty i w sumie nie można niczego nikomu zarzucić. Taki chory pójdzie do apteki, postoi z pół godziny na deszczu (w aptecę mogą przebywać równocześnie dwie osoby, reszta – won za próg, czyli na świeże powietrze), w drodze

powrotnej wyczerpany złapie wiadomego wirusa. Trafi do szpitala, tam zejdzie i wprowadzą go na listę ofiar korony, tworzonej ku przestraszeniu społeczeństwa. Winny jest zatem wirus. Jasne? Jasne!

Służba zdrowia w tym wypadku zdaje się być służbą wirusowi.

Oczywiście nie w całości. Sama jestem, jak wielu innych, ofiarą medycyny telefonicznej. Nawet trafiłam do szpitala. Normalnego szpitala. Wszyscy tam normalnie pracowali. Potem trafiłam do prywatnej przychodni w celu wykonania badań. Tu nie tylko pracowano normalnie, tu pracowano rewelacyjnie.

Można? Można!

Dlaczego więc lekarz tzw. pierwszego kon.... dobra, nie będę tego powtarzała, nudne się robi... nie przyjmuje pacjentów normalnie? Jak jest cel? O co w tym wszystkim chodzi?

Teoria spiskowa mówi, że chodzi głównie o przerzedzenie. Starszym, schorowanym ludziom odechce w końcu porad przez telefon. Bo nawet oni już nie uwierzą, że można telefonicznie odróżnić przeziębienie od anginy, grypy lub alergii. O zapaleniu oskrzeli czy płuc już nie wspomnę.

Telefon to nie stetoskop.

W oczu też takiemu pacjentowi telefon nie zajrzy. Zapalenie spojówek? Zespół suchego oka? A może zwykły paproch?

Na zakończenie zacytujmy klasyka:

„Ślachetne zdrowie,

Nikt się nie dowie,

Jako smakujesz,

Aż się zepsujesz....”

Olejek goździkowy

Skoro już wiemy dlaczego powołano do życia pandemię i jakimi metodami posłużono się w celu zastraszenia i wywarcia wpływu na ludzkość, należy zadać kolejne ważne pytanie – KTO?

Podstawowa teoria spiskowa mówi, że Chińczycy w celu gospodarczego opanowania świata. Nie zgodzę się z tym. Mieszkańcy Chin już opanowali świat. Robią to konsekwentnie od wielu lat. Pamiątki z Ustki są przecież produkowane w

Chinach. Majtki też nosimy chińskie. O butach typu „adidas” nie wspomnę. Po co więc jeszcze dodatkowo produkować wirusa, który miałby uśmiercić potencjalnych klientów?

Druga teoria, ku której się skłaniam, to spisek farmaceutyczny, znaczy się spisek wszystkich co z tą niezwykłą dziedziną życia mają jakikolwiek związek od właścicieli wielkich firm poprzez naukowców, a skończywszy na pani Marysi zamiatającej aptekę w Kurzej Wólce.

Czy zauważyliście, że wśród protestujących przeciwko obostrzeniom (nowe słowo do słownika – zapisać, zapamiętać!) rządowym nie ma aptekarzy? Inni podają wielkość swoich strat, bankrutują, a branża aptekarska – nic. Cisza. Spokój. A przed aptekami – kolejki. Bo apteka z reguły mała, według obecnych przepisów może pomieścić niewielką ilość osób. A ludzie kupują. Wchodzą i długo nie wychodzą. Zatem kupują dużo. W sumie jestem ciekawa jakie zyski osiąga dziś przeciętna apteka w Polsce...

Bo wirus to nie tylko korzyści ze słynnej szczepionki. To przede wszystkim witaminki, suplementy diety, wzmacniaczkę organizmu, zestawiki do regeneracji organizmu.... tu można dać promocję, tu zachęcić. Bo taka witamina X działa jedynie w połączeniu z witaminą Z i na dodatek w towarzystwie proenergomitany z rodziny listowatych.

Miłośnicy serialu „Ranczo” na pewno pamiętają odcinek 57. Oto były wójt - właściciel apteki, Paweł Koziół kupuje w promocji hurtowej olejek goździkowy. Jednak termin przydatności specyfiku zbliża się do końca. Trzeba go szybko sprzedać. Czerepach szybko udowodnia, że farmaceutyka potrafi kreować potrzeby ludności. Z wielu zastosowań olejku wybiera odstraszanie meszek. Następnego dnia okleja wieś plakatami informującymi o pladze meszek, zagrażającej zdrowiu i życiu ludności. Apteka przeżywa szturm przerażonych ludzi. Tymczasem doktor Wezół stwierdza, że żadnych ofiar meszek nie ma, a całe zamieszanie jest tylko trickiem reklamowym.

Jasne? Jasne!

Sezon 5 serialu nakręcono w 2011 r.

Stado wilków w łańcuchu

Już po świętach, mieszkańcy Ziemi zaczęli się szczepić, zatem czas na powrót do teorii spiskowych niezwykłego roku 2020. Trzeba się śpieszyć, bo zaraz rok 2021, a ten może być jeszcze ciekawszy. Szybko więc odnotuję najczęściej spotykaną teorię spiskową, powtarzaną w tym czasie, który właśnie mija.

Chodzi nie tylko o to, kto stworzył, utworzył czy wymyślił wirusa, ale o to kto za tym całym bałaganem, bajzłem, strachem i propagandą stoi. Słowem o to, kto ma cel w tym wszystkim, co nazwać już trudno.

Według spiskowców sprawca jest jeden – KAPITALISTA.

I nieważne jak się nazywa. Może być ich kilku, no może kilkunastu. Narodowość - najchętniej żydowska. Miejsce zamieszkania – z reguły wyspa na Karaibach. Człowiek wielodzietny, wielonukowy. Słowem taki, co ma wszystko. A jeśli się ma wszystko, to chce się więcej. Najczęściej podwójnie.

Taki kapitalista oczywiście ma swoje firmy, ma swoich ludzi, ma swoje biznesy, interesy i huk wie co jeszcze. I chce więcej. Może więc tak zgarnąć wszystko? Co to jest wszystko?

I tak oto najwięksi kapitaliści świata, na tajnej naradzie, na pewno nie w Wilczym Szańcu, postanowili cały świat zagarnąć dla siebie. Plan - prosty.

„Wywołamy pandemię wirusową. Nie, wojny nie będzie, bo sami chcemy jeszcze pożyć. A bomby latają w różnych kierunkach. W takiego wirusa, znaczy się chorobę, uwierzą praktycznie wszyscy. Wciągniemy w to wszystkie szanowane organizacje pro i niezdrowotne. I tak większość z nich finansujemy, niech się więc odwdzięczą. Wywołamy ogólnoswiatową panikę. Spowoduje to ogólne zamieszanie, ludzie zaczną się bać. A strach jak wiadomo jest bardzo pożyteczny w sprowadzaniu nieszczęść. Część ludzi umrze (patrz mój tekst „Planowana eksterminacja”), część podporządkuje się naszym prawom, a przede wszystkim – część zbankrutuje! Bo nas najbardziej interesują pieniądze!”

Oczywiście wszystko, co się do tej pory wydarzyło i dzieje się nadal, podporządkowane jest wyeliminowaniu innych, mniejszych kapitalistów. Majątek ziemski trafi w całości do owych wybrańców, co to pandemię wywołali.

W takiej Polsce za czasów PRL-u firm prywatnych prawie nie było. Kiedy ustrój się zmienił, zaczęto namawiać ludzi, by własne interesy otwierali. Miałam koleżankę pracującą w Urzędzie Pracy. Decydowała o przyznawaniu forsy na rozkręcenie działalności gospodarczej Jaśkom i Maryśkom. Zawsze była zapracowana, bo każdy chciał mieć własną firmę.

Teraz takie firmy stoją nad przepaścią bankructwa. Prywatne majątki rozpływają się jak sztuczny śnieg na nieczynnych stokach narciarskich.

I oto pojawiły się ponoć osoby oraz inne, większe firmy, które te mniejsze chcą wykupić. Za grosze. Rozpoczyna się pożeranie mniejszych przez większych. Klasyczny łańcuch pokarmowy tworzący sieć zależności, dzięki którym możliwy jest obieg materii i przepływ energii.

W lesie, w którym rządzi stado wilków, sarna się nie uchowa.

Ziemia obiecana z marmuru

To już nie teoria. To fakt. Autentyczny do tego, co potwierdza, że jest prawdą,

tylko prawdą, a nie gó... prawdą.

W naszym kraju nad Wisłą, Odrą, Narwią i Pełcznicą rozpoczęto szczepienia mające na celu uchronienie ludu słowiańskiego od chińskiej zarazy. Oczywiście powstał precyzyjny plan jak, gdzie, kiedy i kogo szczepić. Bo ponoć chętnych było multum, a szczepionek jak na lekarstwo przeciwko nowotworom. Znaczą się niewiele.

Nie, chyba to nie było tak.

Zanim szczepionki dotarły do celu, w kraju nad Wisłą, Odrą, Na.... itd. najgłośniejszemu wrzeszczeli ci, co to zaszczepić się nie chcieli. Potem odezwali się ci, co pragnęli ukłucia. Rozpoczęła się narodowa kłótnia.

Dziennikarze sprawę podgrzewali. Wiadomo, temat na jakiś czas, nie trzeba szukać nowych. W pewnym momencie miałam nawet wrażenie, iż tych, co się szpicować nie dadzą, jest zdecydowanie więcej. Tak chyba też pomyśleli zwolennicy ukłucia. Zapewne to oni pomyśleli, iż trzeba zaszczepić ważnych ludzi, by dali przykład.

Publicznie zaszczepili się dwaj wrogowie z senatu, pewien szef partii i prezydent miasta. Wiadomy prezes przykładowo nie dał, o co niektórzy mieli do niego pretensje. W sumie promocyjnie i propagandowo było. Nikt się nie czepiał.

Awantura wybuchła, kiedy, ponoć przez przypadek, ze strzykawki wyciekła informacja, iż zaszczepili się znani aktorzy. Tak jakby byli innymi ludźmi niż politycy. Cóż, jak wiadomo są zwierzęta równe i równiejsze – jak rzekła stary mistrz Orwell.

Dziś, a pierwszy poniedziałek nowego roku mamy, od samego rana w sieci głównie mamy atak na celebrytów, bo wredni, bo poza kolejnością, bo poza moralnością.... itd. itp. Doszło do tego, że moja koleżanka, z grupy antyszczepionkowców covidowych, oznajmiła, że musi się zaszczepić, bo widocznie szczepionka jest dobra, skoro lud się oburza na tych, co poza kolejnością dali sobie wstrzyknąć. Nie ma w nim żadnych mikroczipów ani żadnych środków ubocznych, jakiegokolwiek by miały być.

Cel został osiągnięty.

Ludziska będą się pchać do szczepień, jak po mięso za PRL-u. Nie wpuszczą poza kolejnością nikogo. Powstaną komitety kolejkowe. Bogaci wynajmą zawodowych staczy, by kolejki przed miejscami szczepień pilnowali.

I uwaga! Czarny rynek też zareaguje. Bazar Różyckiego w stolicy ożyje. Inne bazy również. Drukarnie rozpoczną drukowanie etykiet. Pojawi się technologia przerabiająca plastik na strzykawki, a butelki po czystej na pojemniki ze szczepionką. Policja, zamiast ganiać za Strajkiem Kobiet, zabierze się za ściganie przestępców szczepiennych. Ktoś proponuje wczasy dwutygodniowe ze szczepieniem w

pakiecie. Pod opieką lekarza oczywiście. Ktoś opracuje nowy zestaw przeciwstrząsowy. Ktoś zacznie go produkować. Ktoś będzie to sprzedawał. Ktoś w tym celu postawi nowy sklep....

Słowem – gospodarka ruszy z kopyta i szybko nadrobi straty z epoki panowanie wiadomego wirusa. A wszystko to dzięki zaszczepieniu się przez Agnieszkę, Maksa Baumana i ich córkę.

Wszczep antykowidowy

Dzisiaj w zasadzie należałoby teorię jedynie zaprezentować i potwierdzić jej prawdopodobieństwo, gdyż bardzo, ale to bardzo pasuje do rzeczywistości zastanej, czyli początku akcji „Igła”.

Chodzi oczywiście o słynne szczepienie słynnej osiemnastki, potomnym przypominam – bez kolejki zaszczepiono 18 osób wciskając im kit, że poprzez nadstawienie górnej części narządu zwanego ręką, zostaną ambasadorami szczepionki, na którą znaczna część ludu nie ma ochoty.

Jako że osiemnastka to symboliczna cyfra, bo kto ją przekracza staje się pełnoletni i wiele może, do dnia dzisiejszego, wykryto głównie owych osiemnaście osób i teoria spiskowa mówi, że w większości są to osoby przeciwne obecnemu rządowi, który miał główny cel w szczepieniu ich niż właściwy cel szczepienia.

I tak oto napisałam kilka zdań wielokrotnie złożonych. Dział gramatyki zwany składnią bardzo lubiłam. Jako uczeń i nauczyciel. Będąc drugim, zdania z wieloma orzeczeniami lub równoważnikami zdań w środku zdania wielokrotnie złożonego, służyło mi do udupi.... ucznia, który akurat podpadł mi z innego powodu. Napyskował mi na korytarzu, no to sru go do tablicy i rób rozbiór logiczny zdania! Nie zrobisz – pała! A ja już takie ci podyktuję, że nie zrobisz i wykresu nie narysujesz!

I tak właśnie udupie.... zostali ci, co dali sobie poza kolejnością wstrzyknąć płyn przeciwkovidowy, którą to nazwę ośmielałam się już spolszczyć, bo na tyle gości w naszych słownikach, że już można.

Najpierw ktoś wmówił komuś, że naród jest przeciwko płynowi i trzeba go odpowiednio przekonać wykorzystując w tym celu osoby znane i szanowane, co prawda ten drugi ktoś miał wątpliwości, zwłaszcza dotyczące ilości wstrzyknięć z jednej butelki – pięć czy sześć – wszak butelka to towar ścisłego zarachowania.

Ktoś pocieszył, że towarzysze ongiś nie takie rzeczy robili, wszak historia to nauczycielka życia, a jeśli ktoś już czasów towarzyszy nie pamięta, na pewno zna jakiś kreatywnych księgowych, co to cuda z rozpisywaniem przychodów, dochodów i rozchodów czynią.

Kolejny ktoś, opierając się na podszeptach intuicji, duchów, niekoniecznie świętych, przyjaciół, szwagrów i wujków, dokonał selekcji potencjalnych kandydatów na osoby kandydujące do miana ambasadorów ukłucia igłą, którą wcale nie był bohater słynnej książki Kena Folleta.

I tak oto dokonano kontrolnego wszczepu antykowidowego, który zaowocował

zwolnieniem z pracy kilku osób, które pewnie nie były owymi ktosiami, ale aktywnie uczestniczyły w procesie łamania, przepisów, których nie ma, ale wkrótce będą, bo kolejne rozporządzenie wejście w życia z datą wsteczną do daty ogłoszenia.

Na zewnątrz wypłynęły natomiast wypłynęły nazwiska owych nieszczęśników, co to dali się wpuścić w maliny i udu... przez równie wpuszczonych jak oni, byłych pracowników, zapewne też niewygodnych dla rządzącej ekipy, która teraz jest cacy, bo ukróciła proceder pozakolejkowy i najpierw zaszczepi tych, co mają być zaszczepieni.

Nauczyciele poczekają sobie, dlatego też, w ramach zemsty nauczyciela emeryta, macie felieton ze zdaniem wielokrotnie złożonymi i męczcie się czytając do końca.

Stan agonalny

Dzisiaj o teorii, która jest królową teorii. Spotykamy się z nią przy każdym ważnym wydarzeniu mającym na celu otumanienie tzw. społeczeństwa.

Tacy kapłani egipscy na ten przykład wykorzystywali zaćmienie słońca do pogrążania ludu w ciemnocie. Chłop egipski ciemniał jeszcze bardziej, a kapłani gromadzili nadal złoto w labiryncie (źródło - „Faraon” Prusa).

Za czasów PRL taki na przykład towarzysz Wiesław ogłaszał obniżkę ceny Ursusa, traktora zresztą, licząc, że nikt nie zauważy podwyżki cen cukru (źródło – jakieś filmiki na youtube).

Kiedy ogłoszono pandemię korony, od razu pojawiły się setki, może i tysiące teorii spiskowych. Najwięcej było tych związanych z rządzącymi, że niby pandemią chcą przykryć własne błędy i wypaczenia. A rząd każdego państwa coś za uszami ma i teoria wydaje się być zawsze aktualna. Rządzący zawsze chcą przepchnąć jakąś ustawę tak, by ciemny lud tego nie zauważył. O, taki polski rząd podniósł podatki, ustanowił nowe, a taki lud polski podnieca się do osiemnastu zaszczepionych poza kolejnością. Nikomu do głowy nie przyjdzie, by walczyć o całkowite zniesienie podatku od psa!

Był też czas na protest w związku z technologią 5G, że niby groźniejsza od wirusa, ale większe przynosi zyski wybrańcom i maszty trzeba stawiać. Sprawa jakoś przycichła.

Niestety, to nic w porównaniu z teorią spiskową, z którą zetknęłam się wczoraj podczas dyskusji na wiadomym portalu.

Zacznijmy od tego, że pandemię ogłosiła organizacja ponadnarodowa. Oczywiście nie wyklucza to tego, że wykorzystywana jest do bezecnych celów przez element bliżej nieokreślony. Pytanie – dlaczego w ogóle to ogłoszono?

Pierwsza przyczyna to strach przed nieznanym. Oto pojawia się obcy, znaczy się wirus. Nie wiadomo czym grozi, komu grozi i dlaczego. Jeśli nie ogłosi się stanu klęski zdrowotnej, a ona nastąpi – likwidacja organizacja i sucha gałąź dla jej członków. A więc ogłoszmy – na wszelki wypadek, żeby nikt nie miał do nas pretensji.

Druga teoria – medycyna na świecie jest w fatalnym stanie. Agonalnym

prawie. Nie ma lekarstw na choroby układu krążenia i nowotwory. Niedługo ludzkość czeka totalne wymarcie.

Co, twierdzicie inaczej? W telewizji pokazują najnowsze osiągnięcia, najnowsze aparaty, tu ludziom przeszczepiają twarz, tam operują nienarodzone dziecko....

To pokazówka. A jeśli jest w pewnych okolicznościach prawdziwa, to tylko za pieniądze. Prawdziwe, nie te z ZUS-u.

W rzeczywistości medycyna przestała radzić sobie z chorobami. Dzięki ogłoszeniu, że największym wrogiem ludzkości jest kowid, nikt już nie umiera na raka. Walczymy z kowidem, bo zawał to pryszcz przy wirusie. Na zawał umiera się od razu. Kowid człowieka wykańcza powoli. Kowida można leczyć respiratorem, a na raka potrzeba zdecydowanie więcej lekarstw. O kosztach operacji chirurgicznych nie wspomnę.

Mało tego, z nowotworami medycyna walczy od lat i postępu nie widać. A taka korona po pewnym czasie zniknie lub dostosuje się do naszego świata, jak każdy wirus....

Ten, co rządzi światem

W związku z tym, że życie się unormowało, brakuje ciekawych, a zwłaszcza odkrywczych teorii spiskowych. Przyszedł więc czas, by przedstawić teorię o charakterze religijnym.

Oto bowiem zupełnie niedawno odkryłam, oczywiście, że w internecie, historię szatana, takiego diabła, ma się rozumieć. Historia ta ma związek z konkretną religią. Nazwy jej jednak nie podam, bo bo nie. I koniec.

Otóż szatan zwany czasami Lucyferem, czasami Belzebubem, a najczęściej zwykłym diabłem, pomieszkiwał sobie w niebie, razem z całą grupą świętych. I oczywiście swoim szefem. Ale coś mu się nie spodobało, szatanowi oczywiście, wywołał zamieszki, czy jakiś tam strajk, ale nie był to strajk kobiet. Został najpierw uwięziony w niebiańskim więzieniu, a następnie strącony na ziemię. Strącenie nastąpiło dokładnie w roku 1914. Zaraz wybuchła pierwsza wojna światowa. Ona to właśnie stał się początkiem końca obecnego systemu rzeczy.

Na naszej planecie właśnie szatan objął rządy. To znaczy, że od tej pory wszyscy nami rządzący są przedstawicielami siły nieczystej. Dotyczy to oczywiście polityków.

(O tym, że zło najchętniej zamieszkuje w tej grupie, dowiedzieliśmy się w 1976 roku z filmu „Omen”)

W sumie.... można taką teorię poprzeć patrząc na poczynania co niektórych stojących u steru władzy... zupełnie tak, jakby szatan im podpowiadał, co mają mówić, jakie rozporządzenia wydawać...

Tak więc żyjemy w świecie rządzonym przez Lucyfera i jego spółkę. Począwszy od owego 1914 klęska goni klęskę. Wojny, grypy hiszpanki, LGBT i wreszcie obecny wirus to dzieło faceta z piekła. Jego działania mają na celu oczywiście wyeliminowanie znacznej części społeczeństwa, by pozostali tylko zdrowi i silni. Tacy mogą przetrwać nawet wojnę pod Armagedonem (miejsce ostatecznej bitwy między siłami dobra i zła, w której hordy szatana zetrą się z anielskimi hufcami pod wodzą Chrystusa).

I chociaż Apokalipsa twierdzi, że zło przegra, taki szatanik wierzy, że uda mu się wygrać przy pomocy zdrowych ludzi, co to niejedną zimę na Syberii i koronawirusa przeżyli.

Dobra, przesada z tą Syberią.... ale ci, co zimą chodzą w góry w samych majtkach i wracają bez pomocy GOPR-u, zawsze mają szansę na wygranie z delikatnymi aniołkami mają.

Teoria bezsensowności

Najciekawsze teorie spiskowe można usłyszeć w tłumie. Takim, co to nie powinno go być w czasach pandemii, ale jest, bo żadna teoria ani praktyka nie przewidziała, że go nie będzie. Dziś zatem o sprawach bezsensownych.

Dawno nie odwiedzałam swego ulubionego szmateksu vel (w wersji importowo – eksportowej) second handu, który raz w tygodniu robi totalną wyprzedaż po 1 zł za sztukę. Sklep duży, zatem i ludzi przed nim dużo. Zwłaszcza kobiet w wieku emerytalnym, które za swoje liche emerytury mogą zrobić sobie prawdziwy shopping. Jako nauczyciel na emeryturze idealnie pasuję do tego grona.

Dotarłam więc przed sklep, tłum oczywiście, że był, ale jakoś tak dziwnie ustawiony. Okazało się, że do sklepu można wejść tylko bocznymi drzwiami zwanymi ewakuacyjnymi. Mało tego – wejść może tylko 30 osób.

Słowem taki tłum jak przed wjazdem na stoki narciarskie lub w kolejce po zapis na szczepienie. Czyli wewnątrz wszystkie rygory sanitarne zastosowane. Maseczki na głowie, nosie i dłoniach (znaczy się rękawiczki). Dezynfekcja tych rękawiczek. Wpuszczana odpowiednia do ilości metrów kwadratowych ilość osób. Zachowanie odległości człowieka od człowieka.

A na zewnątrz – człowiek na człowieku człowiekiem pogania. Żadnych zasad. Gdzie sens, gdzie logika – od dawna nie kumam.

Przed szmateksem stałam się częścią tego bezsensu. Oczywiście, że się nie załapałam do pierwszej trzydziestki. Wraz z innymi oceniliśmy stan w tłumie (który się aż tak bardzo nie zmniejszył, wiadomo – kiecka za 1 zł) na około godziny. Praktycznie każdy się przyznał, że w szmateksie spędza godzinę. Bo to i wybrać trzeba, i przymierzyć, i pogadać....

I tak sobie zaczęliśmy gadać w kolejce jak za PRL-u. Wiadomo, geriatryka stoi to i powspominać jest o czym. A potem doszliśmy do teorii spiskowych.

Usłyszałam oczywiście te, o których już pisałam. Firmy farmaceutyczne mają

nas na celowniku. Politycy chcą nas wykończyć. A miliarderzy zdobyć naszym kosztem kolejne miliardy.

Doszliśmy oczywiście do szczepionek. I tu pojawiła się nowa, nieznana mi teoria.

Jeden z nielicznych w kolejce osobników płci drugiej oznajmił, że przez najbliższe pięć lat nic nam nie grozi. Pożyjemy sobie spokojnie, chyba, że ktoś zemrze na słynne choroby współistniejące. Do przyjęcia równie słynnej szczepionki, zwłaszcza kiedy na rynek wejdzie ta od Putina, zostaniemy zmuszeni. Bo oczywiście chcąc wyjść na ulicę, do takiego szmateksu na przykład, będziemy musieli być zaszczepieni. Teraz w sklepach stoją pojemniki do dezynfekcji rękawiczek, niedługo staną skanery, które to będą skanować, czy mamy ten czip w organizmie czy nie.

A po pięciu latach zaczniemy padać jak muchy po muchozolu. Na twarz padnie 80% ludzkości. I nareszcie z planety Ziemia zniknie problem głodu, śmieci i wszelkich innych zaraz.

Bo takie jest główne zadanie owej słynnej szczepionki.

Po godzinie stania weszliśmy do sklepu, by zrobić zaopatrzenie w kiecki, spódnice, spodnie i podkoszulki na najbliższe pięć lat.

Jako że wirus nabyty w tłumie przed sklepem ujawnia się w ciągu sześciu dni, mam jeszcze pięć do dyspozycji. Może jeszcze uda mi się skoczyć w tłum na jakimś stoku narciarskim?